Edmond Hamilton

Zapomniana planeta

(Forgotten World)

Thrilling Wonder Stories, Winter 1946
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I
Przybysz z gwiazd

Carlin był jedynym spośród czterystu pasażerów „Larkooma”, który nienawidził międzygwiezdnych statków i wszystkiego, co było z nimi związane.

Był znudzony całym tym statkiem i wszystkimi na jego pokładzie. Banda paplających idiotów! Po raz setny od opuszczenia Canopusa powiedział sobie, że był gigantycznym głupcem, dając się namówić psychoterapeucie na tę szaloną podróż.

Blondynka z Altaira Cztery, która przechadzała się po pokładzie, obdarzyła Lairda Carlina promiennym uśmiechem, jaki wszystkie co młodsze turystki stosowały wobec wysokiego, ciemnowłosego, ponurego młodzieńca.

— Och, panie Carlin, przez głośniki obwieszczono właśnie, że jesteśmy tylko osiem godzin drogi od Sol. Przed nocą będziemy już na Ziemi! Czyż nie jest to ekscytujące?

— Tylko, co ma w tym być takiego ekscytującego? — spytał kwaśno Carlin.

Dziewczyna była nieco zbita z tropu.

— Przecież mówimy o Ziemi! Cała ta historia starożytna, której uczymy się w szkołach, o tym jak ludzie po raz pierwszy przybyli stamtąd dwa tysiące lat temu. A może to już było dwa tysiące sto lat temu?

Paplała dalej, wygłaszając wszystkie odpowiednie frazesy.

— Niech pan tylko pomyśli, wszyscy na tym statku pochodzimy z różnych państw i światów, a jednak dawno temu nasi przodkowie żyli na tej jednej małej planecie – Ziemi. I mówi się, że ona nadal w dużej mierze jest taka sama jak wtedy. Czyż to nie wspaniałe?

Carlin nie widział w tym nic wspaniałego i oznajmił to z pewnym znużeniem w głosie.

Dziewczyna zaczerwieniła się z irytacji.

— W takim razie, po co w ogóle wybiera się pan na Ziemię?

Po co, rzeczywiście, zastanowił się gwałtownie Carlin? Dlaczego do diabła nie siedział u siebie, po drugiej stronie galaktyki, tam gdzie było jego miejsce, nadzorując tworzenie nowej linii statków międzygwiezdnych na Algol Sześć, spędzając urlopy w Sun City z Nilą?

Nila – tęsknił za nią, za jej radosnym, kpiącym humorem, za jej chłodną urodą, za jej szybkim, lotnym umysłem. Co on tutaj robił, z bandą turystów o ptasich móżdżkach, którzy dla lokalnego kolorytu sumiennie odbębniali podróż, na starą, zapomnianą planetę?

Cała ta część galaktyki była obszarem pogrążonym w stagnacji, na wpół martwym. Po tej stronie Vegi nie było ani jednego słońca z liczącymi

się światami. A stary „Larkoom”, drugorzędny statek międzygwiezdny, który nie był w stanie osiągnąć więcej niż osiemdziesiąt prędkości światła, z determinacją i monotonią brnął w głąb tego obszaru.

W każdym razie, do diabła z tym przeklętym psychoterapeutą! Czemu był na tyle szalony, żeby posłuchać tego gościa? Ten sympatycznie wyglądający, różowy, nieustannie mrugający Arkturianin, uśmiechał się tak milutko, jak dobrze wychowany kociak, gdy mówił Carlinowi, na czym polega jego problem.

— Choroba gwiezdna? — Carlin zapłonął gniewem. — Co pan przez to rozumie, że jestem chory na chorobę gwiezdną? W ciągu ostatnich trzech miesięcy, dziesięć razy odbyłem podróż na Algola.

Psychoterapeuta przytaknął.

— Tak. I było to o dziewięć razy za dużo. Od dłuższego czasu przesadzał pan z tym, panie Carlin.

Zanim Carlin zdążył zaprotestować, drugi z mężczyzn odniósł się do akt leżących na jego biurku.

— Mam tu pańskie akta. Urodzony na Aldebaranie Cztery, trzydzieści lat temu. W wieku dwudziestu dwóch lat ukończył Uniwersytet Canopusa z tytułem inżyniera kosmicznego. Pracował od tego czasu zakładając porty kosmiczne dla linii statków międzygwiezdnych łączących Rigela, Sharak, Tibor, Algol i inne gwiazdy.

Psychoterapeuta uniósł wzrok i poważnie na niego popatrzył.

— Chodzi o to, że w ciągu ostatnich ośmiu lat spędził pan pięćdziesiąt procent swego czasu na statkach międzygwiezdnych. Średnia wzrosła do siedemdziesięciu procent, odkąd objął pan kierownictwo nad utworzeniem nowej linii Algola. A to zbyt wiele czasu w kosmosie, dla każdego człowieka. Nic dziwnego, że dostał pan choroby gwiezdnej.

— Do diabła, nie mam żadnej choroby gwiezdnej! — Carlin eksplodował. — Co z pana za terapeuta? Przychodzę tu, aby wyleczył pan absolutnie prosty zespół zmęczenia odruchowego, a pan mi mówi takie rzeczy!

Arkturianin mądrze pokiwał głową.

— Pański przypadek był tylko z pozoru taki prosty, panie Carlin. Hipnoza niechybnie ujawniła pańskie prawdziwe problemy. Chce pan usłyszeć zapis?

Carlin wysłuchał go. I nie było to miłe. Nie było miło słyszeć, jak jego uwolniona przez hipnozę podświadomość wykrzykuje swą szaleńczą nienawiść do przestrzeni kosmicznej i statków międzygwiezdnych oraz wszystkiego co było z nimi związane.

— Widzi pan? — oznajmił łagodnie Arkturianin. — To narastało w panu przez długi czas.

Carlin poczuł się oszołomiony. Znał innych ludzi, którzy dostali choroby gwiezdnej i musieli odejść ze swojej pracy oraz zrezygnować na jakiś czas z podróży w kosmosie. Inni ludzie – ale on zawsze pogardliwie podśmiewał się z nich, z tego powodu.

Psycholodzy mogli sobie twierdzić, że całkowicie naturalną rzeczą jest, iż człowiek rozwija w sobie podświadomą niechęć do przestrzeni kosmicznej, jeśli za dużo w niej pracuje, ale twardo stąpający po ziemi inżynierowie w rodzaju Carlina uważali, że człowiek cierpiący na chorobę gwiezdną to – w dziewięciu przypadkach na dziesięć – nierób unikający roboty. A teraz jemu samemu oznajmiono, że ma chorobę gwiezdną.

— Musi pan odejść z pracy i przez jakiś czas trzymać się z dala od przestrzeni kosmicznej — powiedział mu arkturiański terapeuta.

Carlin poczuł ciężar na sercu.

— Ale wtedy cała moja praca przy tworzeniu linii Algola przejdzie w ręce młodego Brewera.

A jednak, pomyślał po chwili, może to nie będzie takie złe. Pracując w głównych biurach swojej linii tu, na Canopusie Dwa, mógłby trzymać rękę na pulsie. I miałby więcej czasu na Nilę.

Lecz psychoterapeuta dosyć zdecydowanie pokręcił na to głową.

— Nie, panie Carlin. Pański przypadek jest na to zbyt niebezpieczny. Pańska podświadomość została skręcona w węzeł, który trudno będzie rozsupłać. — Zawahał się chwilę, jakby wiedział, jaką reakcję wywołają jego kolejne słowa. — W rzeczywistości istnieje tylko jeden sposób, w jaki można pana unormować. To jest leczenie na Ziemi.

— Leczenie na Ziemi? — Carlin nawet nie wiedział, co to znaczy. — Ma pan na myśli jakieś leczenie, które ma związek ze starą planetą, położoną po drugiej stronie galaktyki?

Arkturianin przytaknął.

— Tak, planeta naszych przodków – Ziemia. Z niej wyruszyła cała nasza rasa, dwa tysiące lat temu. Na którą wróci pan, być może na rok.

Carlinowi to spokojne stwierdzenie zaparło dech w piersiach.

— Ja miałbym udać się na Ziemię, na rok? Czy pan zwariował? Po co miałbym tam lecieć?

— Ponieważ — oznajmił poważnie terapeuta, — jeśli pan tego nie zrobi, obawiam się, że nie wytrzyma pan nawet kolejnych sześciu miesięcy pracy w linii międzygwiezdnej.

— Ale dlaczego nie mogę odpocząć właśnie tutaj, na Canopusie Dwa? — gorąco dopytywał się Carlin. — Po mnie co wysyłać na tę zapyziałą, zapomnianą starą planetę, na której dzisiaj nie ma niczego poza paroma zabytkami?

— Nigdy nie był pan na Ziemi, jak mniemam? — spytał zamyślony psychoterapeuta.

Carlin machnął niecierpliwie ręką.

— Nie interesuje mnie historia starożytna. Ta część galaktyki to kompletny zaścianek.

— Tak — odpowiedział ekspert. — Wiem o tym wszystkim. Ale choć stara, mała i zapomniana, jaką stała się w obecnych czasach, Ziemia wciąż jest ważna.

— Dla historyków — warknął Carlin. — Dla ludzi, którzy lubią grzebać w pokrytej kurzem przeszłości.

Arkturianin skinął głową i wzruszył ramionami.

— I dla psychologów — dodał cicho. — Większość ludzi w dzisiejszych czasach nie zdaje sobie sprawy z pewnej rzeczy. Nie zdaje sobie sprawy, że my wszyscy, w pewnym sensie, naprawdę jesteśmy nadal Ziemianami. — Uniósł w górę rękę, uciszając protesty. — Och, wiem, że nie myślimy o sobie w taki sposób! Od czasu, gdy pierwsi Ziemianie wyruszyli jako pionierzy na sąsiednie planety, a potem do gwiazd, odkąd nasza cywilizacja rozprzestrzeniła się na większość galaktyki, sto pokoleń ludzi urodziło się na różnych gwiezdnych światach od Rigela do Fomalhauta. Ale poza lokalnymi modyfikacjami, główny typ człowieka nie zmienił się od czasu, gdy dawno temu nasi przodkowie opuścili Ziemię i Sol.

— To dlatego, że zmieniliśmy warunki panujące na światach innych gwiazd, aby dopasować je do nas, byśmy my nie musieli przystosowywać się do tych warunków. Mądrze zmieniliśmy atmosfery, siły ciężkości i inne czynniki, wszędzie gdziekolwiek tylko się udaliśmy. W ten sposób utrzymaliśmy się jako jedna rasa, jeden typ. Ale jest to typ, który wciąż jest przystosowany do tej starej planety Ziemi, jako swojej normy.

— Czy to wyjaśnia, dlaczego muszę porzucić pracę i żyć przez rok w tym starym skansenie? — dopytywał się z wściekłością Carlin.

— Tak, to wyjaśnia — odpowiedział Arkturianin. — Jesteśmy teraz rasą podróżującą między gwiazdami. Ale umysł może znieść tylko określoną liczbę z obciążeń związanych z podróżami międzygwiezdnymi. Jeśli przesadzi się z tymi obciążeniami, dostanie się wstrętu do nich, dostanie się choroby gwiezdnej. Wtedy jedynym lekarstwem dla umysłu jest odpoczynek w kompletnie normalnych warunkach. A całkowita normalność, dla nas potomków Ziemian, to – Ziemia.

Carlin zapłonął gniewem. Przygotował swój gniewny opór do ostatniego uderzenia.

I wtedy psychoterapeuta go zmiażdżył.

— Przesłałem pański psycho-rejestr do pańskiej linii statków międzygwiezdnych. Nie będzie mógł pan tam pracować, dopóki nie zostanie pan wyleczony.

I to właśnie, pomyślał gorzko Laird Carlin, był powód, dla którego leżał na leżaku tu, na „Larkoomie", podczas gdy ta stara balia skrzypiała, pracowała i parła przez przestrzeń w kierunku żółtej iskry Sol.

— Rok! — pomyślał w bezsilnej wściekłości. — Rok w tej dziurze! Równie dobrze mógłbym palnąć sobie w łeb.

Psychoterapeuta miał nadzieję, że może nie potrwa to roku. Niektóre przypadki choroby gwiezdnej szybko reagowały na leczenie na Ziemi. Ale nawet kilka miesięcy wydawało się Carlinowi wiecznością.

Pasażerowie „Larkooma" tłoczyli się przed przezroczystą wideościaną pokładu. Ziemia zaczynała wchodzić w zasięg wzroku. A ci ludzie – mężczyźni i kobiety spaleni na brąz przez blask Canopusa, o cerze zaczerwienionej przez pustynne wiatry światów Rigela, bladzi od mgieł planet Altaira – wszyscy patrzyli z intensywnym i niecierpliwym oczekiwaniem.

Carlin podszedł ze znużeniem do ściany pokładu i przyglądał się razem z nimi. Sol, przed nami, było małym i niczym niewyróżniającym się żółtym słońcem. Jego tarcza nie robiła wrażenia na oczach, które wcześniej oglądały Antaresa i Altaira.

A planety, które je okrążały, były tak małe, że Carlin z trudem był w stanie je dostrzec. Przypomniał sobie na wpół zapomniane nazwy ze starożytnej historii – Saturn, Jowisz, Mars. A ta mała szaro-zielona kropka poza nimi, to pewnie Ziemia.

— Czyż nie jest malutka? — bełkotała zachwycona, otyła kobieta, obok Carlina. — Myślę, że jest urocza!

Bardzo młody człowiek z Mizar Siedem dumnie obwieścił swoją wiedzę.

— Ten satelita za nią, to Luna, jej księżyc.

— Księżyc jest prawie tak duży jak ta mała planeta! — wykrzyknął ktoś, śmiejąc się.

Carlin uznał, że ta cała ich paplanina działa mu na nerwy i odsunął się dalej w głąb pokładu. W ponurym milczeniu patrzył w dół, jak „Larkoom" zmierza w szybkim, prawie bezgłośnym pędzie, w kierunku małej planety.

Szarozielona, pokryta chmurami kula wirująca wokół drugorzędnego słońca – dla Carlina wyglądało to jak kraniec wszechświata. I być może będzie musiał spędzić tutaj aż cały rok! Jego nastrój pogorszył się jeszcze bardziej.

— Podobno można tu dostać najwspanialsze pamiątki — dotarł do niego głos jednego z turystów.

Carlin skrzywił się. Chętnie wydostałby się ze statku nawet na Ziemię, żeby tylko uciec od tej bandy bełkoczących głupców.

Zdawał sobie sprawę, że jego rozdrażnienie jest skrajne, kompletnie nieuzasadnione. Był to wynik jego choroby gwiezdnej, jak przypuszczał. Ale to nie czyniło całej sytuacji bardziej znośną.

— Lądowanie za dziesięć minut — obwieściły głośniki na całym statku. — Staza w toku.

Przyćmiona poświata siły stazy, która chroniła wszystko na statku przed przeciążeniami hamowania, pojawiła się wokół nich jak namacalna rzecz. Wielkie generatory fal napędowych mruczały w niższych tonacjach.

Otuleni siłą amortyzującą nie czuli żadnego dyskomfortu, gdy „Larkoom" szybko schodził w kierunku małej planety. Atmosfera z piskiem zaświstała na krótko, na zewnątrz statku. Zeszli w dół, przebijając się przez pas chmur.

— To miasto, to Nowy Jork! — zawołał ochoczy głos. — Najstarsze ludzkie miasto w galaktyce!

ROZDZIAŁ II
Starożytne miasto

Carlin spoglądał zachłannym wzrokiem na rozszerzającą się pod nimi scenerię krajobrazu. Widać było rozciągający się na wschodzie błękitny ocean, długie zielone wybrzeże i wyspę, którą pokrywały groteskowo wyniosłe budynki miasta, w niezwykle antycznym stylu.

To starożytne miasto zwane Nowym Jorkiem wyglądało jak pamiątka z prymitywnej przeszłości. Od tysiąca lat ludzie nie stłaczali swoich budowli w tak szalony sposób, ani nie wznosili ich na tak obłędne wysokości.

— Tutaj jest tak jak w gołębnikach ludzi-ptaków na Polaris Jeden! — wykrzyknęła jedna z dziewczyn, śmiejąc się. — I jak staro to wygląda!

Staro? Tak. Żałośnie staro, jak uschnięta stara panna, która stara się ciągle trzymać swej sztywnej godności. Miasto wyglądało na w połowie tylko zamieszkane, niektóre z groteskowych wież obrośnięte były winoroślą, parki wdzierały się na otaczające je ulice.

Port kosmiczny, położony w pewnej odległości na północ, wśród niskich, pofałdowanych wzgórz, był tak mały, że nie nadawałby się dla żadnej porządnej planety. Doświadczone oczy Carlina z potępieniem dostrzegły popękane, poczerniałe pole startowe, źle rozmieszczone rzędy doków, niewystarczająco duże hangary i budynki naprawcze.

„Larkoom" wylądował delikatnie. Carlin odczekał znużony, aż ucichnie piskliwy jazgot śpieszących na zewnątrz turystów, po czym wyszedł na światło łagodnego, żółtego słońca. Rozejrzał się bez specjalnego zainteresowania. Lądowanie na nowej planecie nie było dla niego żadną nowością.

Ale przez chwilę zaskoczyło go powietrze, którym oddychał. Było tak słodkie, tak bujne, tak właściwe. Subtelnie pobudzało, dawało radość płucom. Potem zdał sobie sprawę z przyczyny. W całej galaktyce potomkowie Ziemian dostosowywali atmosfery planet, przyjmując tę ziemską jako pożądaną normę.

Rozejrzał się niepewnie wokół siebie. Turyści byli już odprowadzani przez swoich przewodników w kierunku jakichś antycznych zabytków na dalekim krańcu portu kosmicznego. Nie miał jednak ochoty podążać za nimi.

Psychoterapeuta polecił mu: „Proszę żyć jak najbardziej zwyczajnym ziemskim życiem. W ten sposób szybciej się pan wyleczy. Najlepiej byłoby zamieszkać w jakimś typowym ziemskim domu, jeśli będzie pan mógł."

Carlin zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć takie lokum. Dokoła kręciło się paru Ziemian, pracujących w kosmosie, urzędników portowych i tym podobnych. Mógłby spytać któregoś z nich.

Spotykał już wcześniej Ziemian w całej galaktyce, gdyż wielu z nich wyruszało w kosmos jako handlarze. I nie bardzo ich lubił. Zawsze wydawali mu się dumni, małomówni, odrobinę zrzędliwi.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu w pobliżu mógłbym znaleźć jakiś nocleg? — spytał chudego człowieka, o długiej, sterczącej do przodu szczęce, w wyblakłym ubraniu.

Ziemianin zmierzył Lairda Carlina nieprzyjaznym wzrokiem, przyglądając się jego przyciemnionej blaskiem obcych słońc twarzy, spodniom i marynarce z syntetycznego jedwabiu w perłowym kolorze,

wszystkim innym szczegółom jego wyglądu, które były tutaj tak wyraźnie obce.

— No cóż, nie — wycedził chłodno facet. — Nie wiem, gdzie obcy mógłby się tu zatrzymać.

Wtulił głowę w ramiona. Carlin poczerwieniał ze złości na ledwo skrywaną wrogość w sposobie zachowania się tego człowieka.

Te przeklęte ziemskie prostaki! Żyją tu, na tej starej, zaściankowej, pięciorzędnej planecie, obrażeni na postęp i dobrobyt wielkich gwiezdnych światów, mówiąc o wszystkich oprócz siebie jako o „obcych"!

„I ja mam żyć wśród nich przez rok! — pomyślał z goryczą.

Ruszył przez port kosmiczny. Zauważył nowiutki, elegancki budynek z chromowych stopów, z pół tuzinem czyściutkich krążowników Kontroli, zaparkowanych w pobliżu i z emblematem Rady Kontroli na ścianie. Może tam uda mu się czegoś dowiedzieć.

Port kosmiczny był w oczach Carlina miejscem sennym, niechlujnym. Kilka statków międzygwiezdnych – wszystko były to frachtowce, poza bulwiastym „Larkoomem" – kilka porozrzucanych małych statków międzyplanetarnych, kilku snujących się robotników. Nawet najmniejszy świat wielkich gwiazd, wstydziłby się takiego portu.

To miękkie żółte słońce, jak stwierdził, było zwodniczo ciepłe. A chodzenie, po wielu dniach spędzonych w sztucznej grawitacji statku, szybko męczyło. Carlin zatrzymał się więc, gdy zbliżył się do małego, rachitycznego statku międzyplanetarnego.

Dwóch Ziemian dokonywało inspekcji jego rufowych płyt napędowych – jeden z nich był krępym młodzieńcem o czerwonej twarzy, drugi zaś inwalidą, młodszym gościem o kulach. Carlin zadał im swoje pytanie.

Człowiek o czerwonej twarzy odpowiedział z taką samą wrogością jak poprzednio pytany człowiek:

— Nie znajdzie pan tu żadnego noclegu. Lepiej niech pan pójdzie z resztą swojej czeredy. W mieście jest duży hotel dla turystów.

Carlin zaklął.

— Do diabła, ja nie jestem turystą. Jestem inżynierem wysłanym tutaj przez szalonego psychologa, żeby spędzić rok na Ziemi – Bóg wie tylko po co!

Chromy młody Ziemianin przyjrzał się Carlinowi uważniej. Miał szczupłą, przyjemną opaloną twarz, o inteligentnych niebieskich oczach.

— Ach, został pan skierowany na kurację na Ziemi? — stwierdził. — Nieustannie przylatuje tu paru ludzi takich jak pan. — Zapytał z zainteresowaniem: — Jest pan inżynierem kosmicznym? Czy może mi pan powiedzieć, w jakiej dziedzinie?

— Jestem głównym planistą linii statków międzygwiezdnych — odparł ze znużeniem Carlin. — To znaczy, że zakładam porty kosmiczne i wytyczam przy pomocy radiolatarni trasy między gwiezdnymi światami.

— Wiem, co to znaczy. — Chromy młodzieniec przytaknął spokojnie. Zawahał się, marszcząc lekko brwi, jakby rozważając jakąś kwestię.

Potem, jak gdyby się zdecydował, powiedział: — Nazywam się Jonny Land. Myślę, że mógłbym panu załatwić zakwaterowanie, jeśli nie ma pan nic przeciwko odrobinie niewielkiego dyskomfortu.

— Chce pan powiedzieć, w pańskim własnym domu? — Carlin spytał z powątpiewaniem. — Gdzie to jest?

Jonny Land wskazał ręką na jeden z niskich zielonych grzbietów wzgórz, na zachód od portu kosmicznego.

— Właśnie tam, na wzgórzach. Mieszka tam tylko mój dziadek, mój brat, siostra i ja. I mamy dodatkowy pokój.

Młody Ziemianin o czerwonej twarzy ostro zaprotestował.

— Jonny, co ty sobie do jasnej cholery myślisz? Chyba nie chcesz, żeby ten facet z tobą zamieszkał!

Gwałtowność jego protestu wydała się Carlinowi nieuzasadniona, nawet biorąc pod uwagę ogólną wrogość Ziemian do obcych.

Jonny Land spokojnie stłumił wybuch swojego towarzysza.

— Właśnie mu to proponuję, Loesser. — Popatrzył na Carlina. — No i jak będzie? Ostrzegam pana, że nie znajdzie pan tu wygód jak w dużym apartamencie na gwiezdnej planecie.

— Nie spodziewam się tu niczego takiego — odpowiedział zmęczony Carlin. Czuł się znużony podróżą, zniechęcająco prymitywnym wyglądem tego miejsca, w którym musi zamieszkać, otwartą wrogością. Przytaknął. — Spróbuję. Nazywam się Laird Carlin.

— Kiedy weźmie pan swoje bagaże, zabiorę pana na górę — zaproponował Jonny Land. — Mam ciężarówkę. Spotkamy się przy terminalu.

Nieco później Carlin wyszedł z obdrapanego terminalu ze swoimi dwoma workami bagażowymi i zobaczył chromego młodzieńca czekającego za kierownicą niezbyt porządnie wyglądającej starej ato-ciężarówki.

Loesser, młody człowiek o czerwonej twarzy, stał przy niej, wyrażając przeciwko czemuś swój stanowczy protest. Carlin podsłuchał kilka słów.

— … zniszczyć wszystko, przyjmując tego gościa! — przemawiał gwałtownie. — Skąd wiesz, że on nie jest szpiegiem Kontroli?

— Wiem, co robię, Loesser — powtórzył stanowczo Jonny Land.

Przerwali, gdy zobaczyli zbliżającego się Carlina. Ale Loesser rzucił mu gorące, gniewne spojrzenie, gdy Laird wsiadał do maszyny.

Stara ciężarówka ruszyła na zachód po wyboistym asfalcie i zaczęła się wspinać antyczną, popękaną betonową drogą w kierunku zielonych wzgórz.

Carlin zastanawiał się ze znużeniem, co ci Ziemianie knują, że boją się Kontroli? Może przemyt? Niewiele go to obchodziło. Było mu gorąco, był zmęczony, brudny od kurzu i bezbrzeżnie zdegustowany Ziemią.

Betonowa droga, która wspinała się na wzgórza, wyglądała jakby miała wieki. A jej konstrukcja była nieśmiała, bo wiła się wokół wzgórz, zamiast je przecinać, przekraczała mostkami małe strumienie, zamiast je pętać i przeskakiwać. A poobijana ciężarówka miała trudności z pokonaniem nawet tych łatwych stopni. Jej silnik głośno dudnił, gdy wspinała się coraz wyżej.

Carlin spoglądał ponurym wzrokiem na rozświetlony zachodem słońca krajobraz. Nie mógł się przyzwyczaić do żywej, bujnej zieleni, wszelkiej tutejszej roślinności. Szokował go też nieuporządkowany, poszarpany wygląd wszystkiego. Nieskończone pola chwastów i kępy leśne rosły aż po samą drogę. Było to przerażająco odmienne od wypielęgnowanych, przypominających parki, planet na Canopusie.

Domy, które Carlin dostrzegał wzdłuż drogi, potęgowały jeszcze jego niechęć. Były to głównie stare żelbetowe domki, na wpół skryte przez drzewa i jasne kwiaty, a za nimi widać było wielkie zbiorniki używane w rolnictwie hydroponicznym. Uprawa hydroponiczna była tak staroświecka, że myślał, iż zniknęła już z galaktyki. Co było nie tak z tymi ludźmi, że nie syntetyzowali swojego jedzenia bezpośrednio, jak inni?

Młody Jonny Land mówił do niego.

— Nigdy wcześniej pan tu nie był? Musi pan uważać Ziemię za nieco dziwną.

Carlin wzruszył ramionami.

— Wszystko jest w porządku, jak sądzę. Ale po prostu nie jestem w stanie zrozumieć, jak wy, ludzie, mogliście pozwolić na to, aby wasza planeta znalazła się w takim stanie. Dlaczego nie rozproszyliście się bardziej, zamiast skupiać się wokół kilku archaicznych, scentralizowanych miast, jak to za nami?

Chromy młody Ziemianin odpowiedział powoli, jego chuda, brązowa twarz zwrócona była na drogę przed nimi.

— Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Jedno słowo, prawdę mówiąc. A tym słowem jest „energia”. Po prostu nie mamy tu na Ziemi wystarczającej ilości energii, by wygładzić ją do postaci planety-ogrodu, jak wasze gwiezdne światy, by szybko przemieszczać się na dowolną odległość.

— Energia atomowa jest chyba najłatwiejszą rzeczą do wyprodukowania, jaka istnieje — skomentował sceptycznie Carlin.

— Tak, jeśli ma się paliwo z miedzi — odpowiedział Jonny Land. — Gdybyśmy mieli wystarczająco dużo miedzi, moglibyśmy stworzyć ogród także na tym świecie. Moglibyśmy rozmieścić się wokół jego najpiękniejszych miejsc, oraz przylatywać i odlatywać szybkimi lataczami. Moglibyśmy zrezygnować ze starego hydroponicznego rolnictwa i syntetyzować nasze jedzenie, oraz produkować luksusy, które wy ludzie macie na gwiezdnych światach.

— Ale mamy mało miedzi. Ziemia, i jej siostrzane planety w tym układzie, wszystkie są niemal jej pozbawione. Kiedyś mieliśmy jej dużo. Ale teraz już nie. A transport miedzi w wystarczających ilościach z innych gwiazd jest ekonomicznie niemożliwy. Dlatego jesteśmy tacy głodni energii, niezdolni do postępu.

Carlin zaprzestał dalszych komentarzy. Nie był zbytnio zainteresowany kierunkiem ku któremu zmierzała rozmowa. Zastanawiał się tylko z bólem głowy, jak długo będzie musiał pozostać na tej nieuporządkowanej, pogrążonej w stagnacji planecie.

Słońce paliło mu kark, bo stara ciężarówka nie miała dachu. Wstrząsały nim dziury w antycznej drodze. Słodycz powietrza straciła dla

niego swoją magię, bo teraz wraz ze zmierzchem pojawiły się roje paskudnych małych komarów i muszek.

— To jest ten dom — powiedział Jonny Land, zatrzymując wóz przed kwadratowym budynkiem mieszkalnym.

Serce Lairda Carlina upadło. Dom był taki sam, jak inne domy, które widział po drodze, żelbetowa konstrukcja obrośnięta pnączami, otoczona wysokimi, nieprzyciętymi drzewami, z wyjątkiem strony, która spoglądała w dół, w głąb doliny. Za drzewami błyszczały prymitywne zbiorniki hydroponiczne.

Wszedł za chromym młodzieńcem do ciemnawego, chłodnego salonu. W oczach Carlina wyglądał on jak antyczna scenografia, ze śmiesznymi zasłonami z tkanin w oknach, przestarzałymi kryptonowymi żarówkami w suficie, masywnymi meblami, które naprawdę wykonane były z drewna.

Jonny Land przyciszonym głosem udzielał wyjaśnień dwóm osobom na drugim końcu pokoju. Wyszli mu naprzeciw, energiczny starszy mężczyzna i dziewczyna.

— To jest Gramp Land, mój dziadek — przedstawił ich Jonny. — I moja siostra Marn.

Starzec popatrzył na Lairda Carlina ciekawskimi, jasnymi oczami, a jego sękata dłoń wyciągnęła się do staromodnego uścisku dłoni.

— Pochodzi pan z Canopusa, prawda? — wychrypiał. — Cóż, to bardzo daleko stąd. Byłem tam kiedyś przed laty, gdy przemierzałem kosmos. A mój wnuk Harb był tam wiele razy, kiedy pracował na statku międzygwiezdnym.

Dziewczyna, Marn, wyglądała na pełną wątpliwości i zmartwioną, gdy wymruknęła do Carlina słowa powitania. Wyczuł, że jego pojawienie się, zaniepokoiło ją.

Była dosyć drobną dziewczyną, z gęstą czupryną popielatych włosów niedbale zaczesanych do tyłu. Oczy miała ciemnoniebieskie. Miała na sobie wyblakły, stary kombinezon, który uznał za najbardziej barbarzyńskie kobiece ubranie, jakie zdarzyło mu się oglądać.

— Mam nadzieję, że uda się nam sprawić, iż będzie tu panu wygodnie, panie Carlin — powiedziała zmartwiona. — Nigdy wcześniej nie mieliśmy lokatora. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jonny złożył panu taką propozycję.

Ciężkie kroki przy drzwiach urwały jej w pół słowa. Jej spojrzenie pełne niepokoju i zmartwienia, zrobiło się jeszcze bardziej ponure.

— Właśnie przyszedł mój brat, Harb.

Harb Land był krzepkim, młodym tyczkowatym olbrzymem o pociągłej twarzy i ciemnoszarych oczach, które natychmiast obrzuciły Carlina wrogim spojrzeniem. Jonny podszedł do niego i szybko wytłumaczył powody obecności Carlina.

— Będzie tu z nami mieszkał przez jakiś czas, Harb.

Reakcja Harb Landa była gwałtowna.

— Czyś ty postradał zmysły, Jonny? — zapłonął gniewem. — On nie może tu zostać.

Zdegustowany, Carlin zaczął się odwracać by wyjść. Ale Jonny Land powstrzymał go gestem ręki. Na jego szczupłej brązowej twarzy pojawiła się spokojna, niepodejrzewana siła, gdy przemawiał do swego brata.

— On tutaj zostanie, Harb. Porozmawiamy o tym później.

Harb Land nie udzielił żadnej odpowiedzi, ale obrzucił Carlina gniewnym spojrzeniem. Zaś Carlin poczuł niewymowne znużenie i niechęć.

Te prymitywne, zacofane, podejrzliwe ziemskie prostaki, kłócące się o przywilej pozostania w ich groteskowym, starym domu. Jakby chciał zostać na ich przeklętej planecie choćby minutę, gdyby nie musiał!

— Jestem bardzo zmęczony — oznajmił ciężko. — Gdyby państwo mogli mi pokazać, gdzie jest pokój, chciałbym odpocząć.

Marn wydała z siebie przepraszający okrzyk.

— Och, przepraszam! Oczywiście, że jest pan zmęczony. Proszę pójść ze mną, panie Carlin.

Poprowadziła na górę. Nie mieli tam żadnej windy grawitacyjnej, tylko staromodne schody wiodące na górę do ciemnego przedpokoju. A sypialnia na piętrze, do której go zaprowadziła, była tak zła, jak się spodziewał.

Była czysta, oczywiście, absolutnie nieskazitelnie. Ale dla Carlina przypominała raczej eksponat muzealny niż izbę sypialną. Nie było żadnych aeratorów, tylko otwarte okna z pokrywającymi je prymitywnymi ekranami. Żadnego tapczanu somnigrawitacyjnego, tylko wysokie łóżko w starym stylu. Nie było nawet wideo.

A jednak dziewczyna nie przeprosiła go za to, najwyraźniej zdawała się nie uważać tego za konieczne.

— Przyniesiemy pańskie worki po kolacji — powiedziała. — Zapraszamy na nią już wkrótce.

ROZDZIAŁ III
Stara planeta

Kiedy Marn odeszła, Carlin położył się zmęczony na drewnianym, obwisłym łóżku. Zamknął oczy. Nastąpiła reakcja na długą, powolną podróż. Nie było co do tego wątpliwości, tak, był chory na chorobę gwiezdną. Za dawnych czasów, żadna podróż nie mogłaby sprawić, by czuł się tak jak w tej chwili.

A może to nie chodziło o podróż, tylko o ten świat, na który został skazany. Jak miał tutaj żyć przez wiele miesięcy, może nawet przez cały rok?

Z półmroku, z dolnego piętra domu, niewyraźnie dobiegały odgłosy gniewnej wymiany zdań. Rozpoznał rozgniewany głos Harba Landa.

— …jeśli Operacje Kontroli dowiedzą się, co robimy!

Nastąpił szmer cichszych głosów, a potem kłótnia zdawała się ustać. Carlin przypomniał sobie co usłyszał, gdy ten facet o czerwonej twarzy, Loesser, mówił w porcie kosmicznym.

Co robili ci Ziemianie, że tak się z tym kryli? Musiało to być coś niezgodnego z prawami, przy pomocy których Rada Kontroli rządziła galaktyką, inaczej nie obawialiby się odkrycia przez Operacje Kontroli.

Kiedy Carlin zszedł na kolację, spodziewał się otwartej wrogości ze strony tyczkowatego starszego brata. Jednakże Harb Land wymamrotał kurtuazyjne powitanie, jego na wpół cywilizowane maniery wskazywały na to, że gniewne protesty młodego człowieka zostały przezwyciężone.

Carlin ze zmieszaniem wpatrywał się w postawione przed nimi jedzenie. Zamiast przezroczystych, kolorowych syntetycznych galaretek i płynów, do których był przyzwyczajony, podano jedzenie w stanie, który wydawał się barbarzyńsko prymitywny. Gotowane w całości warzywa, naturalne jajka, naturalne mleko – wszystko nieprzetworzone i naturalne.

Jadł co mógł, czyli niewiele. Jego zmęczenie go odurzało, a stłumiona wrogość Harba Landa stwarzała poczucie napięcia.

Gramp Land prowadził większość rozmowy, wypytując Carlina o odległe gwiezdne światy. Carlin odpowiedział ze znużeniem.

— Sam niegdyś widziałem wiele z tych planet — oznajmił starzec. Dodał z dumą: — Podróże w kosmosie stanowią część mojej rodziny. Moja matka była bezpośrednią potomkinią samego Gorhama Johnsona.

— Gorham Johnson? — zapytał Carlin. — Kim on był?

Pytanie okazało się niefortunne.

— Czego uczą w tych waszych szkołach w gwiezdnych światach? — eksplodował Gramp. — Czy nie wiecie, że Gorham Johnson był pierwszym człowiekiem, który wyruszył w kosmos? Że był Ziemianinem, który wystartował z miejsca położonego niżej w dolinie, dwa tysiące lat temu?

Duma Grampa była wyraźnie podrażniona. Carlin przypomniał sobie stare galaktyczne przysłowie – „Dumny jak Ziemianin”. Oni wszyscy byli tak niesłychanie próżni z faktu, że ludzie z ich planety pierwsi podbili kosmos.

— Przepraszam — powiedział zmęczony. — Przypominam sobie teraz to nazwisko. W każdym razie, miałem zbyt wiele fizyki kosmicznej do studiowania, aby poświęcać dużo czasu na historię starożytną.

Gramp jeszcze się boczył, ale Jonny zainterweniował, wypytując Carlina o jego pracę.

— Czy studiował pan subatomikę, czy tylko prostą dynamikę?

— Subatomikę — odpowiedział Carlin. A na inne pytanie: — Tak, miałem też mechanikę elektroniczną.

Pochwycił szybkie, triumfalne spojrzenie, którym Jonny Land strzelił w stronę brata. Zastanowiło go to.

— Jonny zna się na tych wszystkich sprawach — pochwalił się Gramp, jego dobry humor wrócił już na miejsce. — Również jest absolwentem Inżynierii Kosmicznej na Uniwersytecie Canopusa.

Laird Carlin był szczerze zaskoczony. Popatrzył na spokojnego, szczupłego młodzieńca.

— Jest pan absolwentem Canopusa? Dlaczego u diabła człowiek o pańskim wykształceniu marnuje swój czas tutaj na Ziemi?

— Po prostu lubię Ziemię — odpowiedział stanowczo Jonny, — i chciałem tu wrócić, kiedy zakończę swoją edukację.

— Och, jasne. — przytaknął Carlin. — Ale skoro ten świat jest tak przestarzały, na jaki wygląda, to nie ma tu pola do popisu dla inżyniera kosmicznego. Powinien pan być na Algolu.

— Wy, ludzie z gwiezdnych światów wszyscy jesteście tacy sami – zawsze radzicie nam opuścić Ziemię! — przerwał mu z tłumioną pasją Harb Land. — To jest to, co Rada Kontroli ciągle powtarza jako rozwiązanie wszystkich naszych kłopotów i problemów. Ciągle pytają: „Dlaczego nie wyemigrujecie do innych gwiazd?”.

Gramp Land pokręcił głową.

— Nie opuszczamy naszej planety tak łatwo jak niektórzy inni ludzie. Bez względu na to, jak daleko wyruszy Ziemianin, zawsze wraca do domu.

— Mimo to, trudno jest winić Radę Kontroli za udzielanie wam dobrych rad — zauważył zirytowany Carlin. — W końcu to wasza własna wina, że głupio roztrwoniliście zasoby miedzi waszej planety i teraz brakuje wam energii.

Kanciasta twarz Harba Landa pociemniała.

— Tak, głupio roztrwoniliśmy naszą miedź. Zrobiliśmy to dwadzieścia wieków temu, kiedy Ziemia otwierała całą galaktykę na podróże. Wykorzystaliśmy naszą miedź ustanawiając galaktyczną cywilizację, która zapomniała o naszej pozbawionej energii planecie.

— Harb, proszę! — wtrąciła Marn przyciszonym głosem, z niepokojem na twarzy.

Zapadła cisza i dokończyli kolację bez dalszych rozmów. Ale Jonny Land odezwał się do Carlina, zanim ten poszedł na górę.

— Proszę nie traktować Harba zbyt poważnie. Wielu ludzi tu na Ziemi jest tak rozgoryczonych naszym brakiem energii, że stają się nierozsądni.

Carlin zastał swoją sypialnię pogrążoną w ciemności. Żadne automatyczne światło nie zapaliło się, gdy wszedł do środka, a on nie potrafił znaleźć przełącznika. Zrezygnował z tego, wgramolił się do łóżka i leżał patrząc ponuro w noc.

Delikatny wiatr poruszał drzewami wokół domu. Ciężki zapach kwiatów unosił się na jego podmuchach, poruszających zasłony okien. W dole doliny lśniły latarnie portu kosmicznego, a za nimi widać było cienki obwarzanek plaży połyskującego morza, nad którym unosiła się tarcza Luny w końcu pierwszej fazy.

Czuł się krańcowo nieszczęśliwy, tęsknił za domem, był kompletnie rozbity. Gdyby był teraz na Canopusie, tańczyłby z Nilą w sali balowej w Sun City albo wędrował z nią po Żółtych Ogrodach.

Zasnął wbrew sobie, w swym miękkim łóżku…

Carlin obudził się wraz z jasnym wschodem słońca zalewającym mu twarz. Sięgnął sennie do aeratora i przycisków odświeżania – i wtedy sobie wszystko przypomniał.

Ku swemu zaskoczeniu, czuł się znacznie lepiej. Spał dobrze w prymitywnym łóżku, a zmęczenie spłynęło z niego niemal zupełnie.

Do jego uszu docierały dziwne, melodyjne tony, które jak się domyślał, były głosami ptaków. Powietrze, które poruszało zasłonami było teraz chłodne, ale czyste i słodkie, subtelnie odurzające.

„Na tej starej planecie mają lepsze powietrze, niż mógłby dostarczyć najlepszy aerator" — pomyślał.

Założył na siebie zapinany na zamek błyskawiczny kombinezon, ciemnobrązowy, o szorstkiej fakturze tkaniny.

„Zmieniam się w tubylca", pomyślał z kwaśnym uśmiechem i zszedł na dół.

W pełnych słońca pomieszczeniach zastał jedynie Marn Land. Nadal miała na sobie te barbarzyńsko wyblakłe stare spodnie, lecz w popielate włosy wpięła czerwony kwiat. Niewielka zmarszczka zmartwienia na jej czole zniknęła, gdy popatrzyła na niego.

— Czuje się pan lepiej, prawda? — spytała.

— Znacznie — przyznał Carlin. — Obawiam się, że wczoraj wieczorem nie byłem zbyt uprzejmy.

— Był pan zmęczony — oznajmiła poważnie. — Proszę po prostu siadać. Przyniosę panu śniadanie.

Było to dla Carlina zupełnie nowe doświadczenie. Siedział rozmawiając na błahe tematy, w zalanej słońcem, starej kuchni, podczas gdy dziewczyna w wyblakłych spodniach przygotowywała mu śniadanie na kuchence elektrodowej. Zamiast wcisnąć w tym celu przycisk posiłku.

— Jonny i Harb pojechali na dół, do portu kosmicznego — rzuciła przez ramię. — Oni i kilku przyjaciół mają tam stary statek międzyplanetarny, który naprawiają na podróż na Merkurego.

— Merkury? — spytał. — Och, to najbardziej wewnętrzna z waszych planet, prawda?

— Tak. Tutaj na Ziemi ludzie zawsze wypuszczali się na poszukiwanie miedzi, na jego Gorącej Stronie. Jonny wymyślił więc tę ekspedycję poszukiwawczą.

Śniadanie, jakie postawiła przed Carlinem, składało się z grubego pszennego chleba, kolejnych naturalnych jajek i mleka, oraz dziwnego brązowego napoju przygotowanego poprzez gotowanie jakichś suszonych jagód. Poinformowała go, że nazywa się to kawa. Carlin spróbował jej i stwierdził, że jest gorzka i niesmaczna.

Nieco zaskoczony własnym zachowaniem, zjadł prawie wszystko inne. Jedzenie było co prawda siermiężne, ale wystarczająco satysfakcjonujące, i mógłby się do niego przyzwyczaić, gdyby miał tu zostać.

— Postaram się nie sprawiać pani kłopotu — powiedział do Marn. — Mam po prostu podchodzić do wszystkiego z dystansem i robić to, na co będę miał ochotę.

Przytaknęła.

— Wiem. Niektórzy z naszych sąsiadów mieli jako lokatorów gości przybyłych na leczenie na Ziemi. Wszyscy bardzo polubili Ziemię, zanim stąd odlecieli.

Carlin nie wyraził swojego pesymizmu w tej kwestii. Poszedł do drzwi i stanął, patrząc na jasne od słońca, pełne kwiatów podwórze.

Czuł się zagubiony. To było zdumiewające uczucie, że nie miał nic do roboty, żadnej pracy, która musiała być wykonana w pośpiechu, żadnych ekip ato-ludzi, którymi by kierował wykuwając porty kosmiczne na dzikich planetach.

Marn popatrzyła na niego ze zrozumieniem.

— Zawsze był pan bardzo zajęty, prawda? Ziemia musi się panu wydawać ospała i nudna.

Carlin wzruszył ramionami.

— Nie mam innego wyjścia, muszę się do tego przyzwyczaić. Chyba rozejrzę się po okolicy.

— Znajdzie pan Grampa łowiącego ryby nad północnym potokiem, jeśli wybierze się pan tak daleko — zawołała za nim Marn, kiedy ruszył przez podwórze.

Carlin przeszedł obok dużego, zamkniętego warsztatu z żelazobetonu i kilku wysokich szop, a następnie obok płaskich, szerokich zbiorników hydroponicznych, które były wypełnione masą zielonych roślin.

Za nimi znalazł drogę. Z początku nie rozpoznał co to jest. Była to w zasadzie szeroka ścieżka prowadząca na północ przez pokryte lasem wzgórza, pierwsza droga gruntowa, jaką kiedykolwiek miał okazję zobaczyć na cywilizowanej planecie.

— Biedna planeta, naprawdę — pomyślał Carlin. — Nie potrafią nawet zbudować porządnych dróg.

Na niebie, nawet, prawie nie było widać ato-lataczy, tylko sporadycznie przelatywały one po sklepieniu niebieskim.

„Nic dziwnego, że te ci ubodzy ludzie mają pretensje do reszty galaktyki” — pomyślał. — „Przypuszczam, że ja też bym je miał, gdybym miał takiego pecha, że się tu urodziłem.”

Droga była szalenie nielogiczna, wiła się serpentynami na północ, wzdłuż pokrytego lasem grzbietu wzgórz. Skręcała dostosowując się do terenu, by ominąć wielkie głazy, źródło, mały wąwóz.

Las rosnący po obu jej stronach był w oczach Carlina żałośnie nieuporządkowany. Duże i małe drzewa zbite były razem, sadzonki dusiły się nawzajem, wszędzie widać było martwe zarośla, ciernie i pnącza. W lesie istniało nawet dzikie życie, futrzaste gryzonie przemykające w oddali, stada ptaków.

Takiego stanu rzeczy można było się spodziewać na jakiejś niezaludnionej planecie, która nie została jeszcze uporządkowana i ucywilizowana. Ale Ziemia była przecież najstarszym zamieszkanym przez ludzi światem w całej galaktyce.

Mimo to, Carlin musiał przyznać, że w rekompensacie, planeta oferowała pewne rzeczy. To jakby przepełnione winem powietrze wciąż było dla niego dużym przeżyciem. A chodzenie przychodziło dzisiaj jego mięśniom łatwiej tutaj niż na jakiejkolwiek innej planecie. Dziwne było to, że chodziło mu się z tak doskonałą łatwością, mimo że nie miał na sobie de-grawu.

Nie mógł znaleźć strumienia, o którym wspominała Marn. Usiadł na pniu przy drodze, rozmyślając o sennej, nudnej ciszy tego miejsca. Nie było tu ani jednego dźwięku wskazującego na ludzką aktywność. Czy ci Ziemianie nigdy nie nudzili się ospałością swojej planety?

Carlin stwierdził, że wciąż jest zmęczony. Obserwował małego, świetlistego owada trzepoczącego nieopodal nad kwiatem. Miękki wiatr z szumem przemierzał nieuporządkowane lasy, poruszając zielonymi liśćmi i tworząc na ziemi rozłożyste, roztańczone cienie rzucane przez światło słoneczne. W oddali skrzekliwie zawołał jakiś ptak.

— Stara, zniszczona planeta, zatopiona we śnie — pomyślał. — Ci tutejsi ludzie, wszyscy żyją jej przeszłością.

Carlin w końcu wstał nieco zesztywniały i ruszył z powrotem drogą. Ze zdziwieniem stwierdził, że czas mu szybko minął, że słońce było teraz w zenicie. I że w jakiś sposób, jego napięte nerwy rozluźniły się.

W wielkim warsztacie za domem drzwi były teraz otwarte. Rzucił przez nie okiem i ze zdziwieniem zobaczył, że w przestronnym pomieszczeniu znajduje się całkiem dobrze wyposażone laboratorium inżynierii atomowej.

Zaciekawiony, Carlin wszedł do środka. Pośrodku wielkiego pomieszczenia dostrzegł strzelistą, masywną maszynę, której mechanizm skrywała cylindryczna metalowa pokrywa.

— Wygląda na to, że to może być jakiś duży generator pola — mruknął pod nosem. — Ciekawe, co to naprawdę jest?

Usłyszał gwałtowny okrzyk, gdy zza maszyny wybiegł Ziemianin, by zablokować mu przejście.

Carlin rozpoznał szeroką czerwoną twarz, gniewne oczy i krępą sylwetkę Loessera, człowieka, który kłócił się z Jonnym w porcie kosmicznym.

— Co pan tu robi? — surowo dopytywał się Loesser.

Carlin był oszołomiony jego gwałtownością.

— Nic, chciałem tylko rzucić okiem na tę maszynę.

— Tak myślałem! — wybuchnął Loesser, jego oczy były rozszalałe z gniewu. — Mówiłem Jonny'emu, że po to pan tutaj przyleciał!

Wyrwał jakiś przedmiot z kieszeni marynarki. Ku zdumieniu Carlina, przedmiotem tym był pistolet atomowy o tępo zakończonej lufie, który Loesser wycelował w niego z wściekłością.

ROZDZIAŁ IV
Tajemnicza maszyna

Laird Carlin był dzieckiem galaktycznej cywilizacji, w której przemoc między ludźmi należała do rzadkości. Istniało jeszcze wiele niebezpieczeństw na pionierskich, nowych światach gwiezdnych, ale na cywilizowanych planetach niezmącony porządek utrzymywało niepodważalne prawo Rady Kontroli. Człowiek mógł przeżyć całe swe życie nie widząc żadnego aktu przemocy.

Pistolet atomowy w ręku Loessera i oczywiste mordercze zamiary wypisane na twarzy tego człowieka, sparaliżowały Carlina. Nie był po prostu w stanie dostosować swojego sposobu myślenia do możliwości, że stojący przed nim rozwścieczony Ziemianin chce go zastrzelić.

— Ale, o co chodzi? — zaczął, zdziwiony i oszołomiony.

Zdawał sobie później sprawę, jak blisko był śmierci. W tej chwili jednak tak kiepsko rozumiał sytuację, że nie poczuł nawet ulgi z powodu interwencji, która po chwili nadeszła. Harb i Jonny Land wybiegli z ogromnego wnętrza warsztatu.

— Loesser, odłóż tę broń! — warknął Jonny.

Loesser odwrócił się gwałtownie.

— Ten facet nas szpiegował! Widziałem go przy drzwiach!

Kanciasta twarz Harba Landa złowieszczo pociemniała.

— Ostrzegałem cię, co może się wydarzyć — powiedział surowo do brata.

— Czy ten człowiek oszalał? — Laird Carlin zaczął w oszołomieniu wypytywać Jonny'ego.

Chromy młodzieniec pokuśtykał szybko do przodu.

— Wracajcie do pracy — powiedział krótko pozostałym dwóm. — Carlin, przepraszam pana za to. Wszystko wyjaśnię.

Ruszył razem z Carlinem w kierunku domu. Dopiero później Carlin zdał sobie sprawę, jak zręcznie i dyskretnie został odwiedziony od warsztatu.

— Harb, Loesser oraz ja, a także parę innych osób, planujemy wyprawę na Merkurego w celu poszukiwania miedzi — wyjaśniał Jonny. — Tym statkiem, który widział pan na dole w porcie kosmicznym. Opracowaliśmy nowy wykrywacz metali oparty na radiolokacji, za pomocą którego mamy nadzieję znaleźć nowe złoża miedzi. To ta maszyna w warsztacie.

— Trzymaliśmy tę sprawę w pewnym sekrecie — kontynuował, — ponieważ naturalnie nie chcielibyśmy, aby inni poszukiwacze wykradli pomysł naszego nowego wykrywacza i wyprzedzili nas w realizacji naszych planów. I obawiam się, że Loesser pomyślał, że pan nas szpieguje. Tutejsi ludzie są zawsze trochę podejrzliwi wobec obcych.

— Tak zauważyłem — odpowiedział sucho Carlin. — To pierwszy świat w galaktyce, na którym czułem się zupełnie niemile widziany.

— Och, nie powiedziałbym tego — uspokajał go jego rozmówca. — Ale niech pan się postawi na naszym miejscu, Carlin. Proszę sobie wyobrazić, jak by się pan czuł, gdyby był pan Ziemianinem, pańska planeta była głodna energii, ponieważ jej zasoby miedzi zostały zużyte na założenie galaktycznej cywilizacji, która teraz ją zaniedbuje.

Szczupła brązowa twarz Jonny'ego była szczera, jego niebieskie oczy obserwowały Carlina, jakby naprawdę chciał go przekonać. Carlin pokręcił jednak głową.

— Dostrzegam wasz problem braku miedzi — zauważył. — Ale remedium na to, jest zupełnie proste. Dziewięć dziesiątych z was powinno wyemigrować na inne, lepsze planety, tak jak radziła Rada Kontroli.

Jonny uśmiechnął się.

— I tutaj staje pan wobec uporu moich rodaków. Mamy starszą tradycję planetarną, głębszą, bardziej starożytną miłość do naszej planety, niż jakikolwiek inny lud w galaktyce.

— Myślę, że wy, tutejsi, za bardzo żyjecie przeszłością — odpowiedział szczerze Carlin. — Ale to nie moja sprawa. W każdym razie, mam nadzieję, że wasza ekspedycja pozwoli zdobyć wam zasoby miedzi.

— Dzięki — powiedział miękko Jonny. — Myślę, że mamy duże szanse.

Carlin wrócił na werandę starego domu i usiadł na niej zastanawiając się. Coś w wyjaśnieniach Jonny'ego było mgliście niesatysfakcjonujące.

Jego doświadczonym oczom wystarczyło przelotne spojrzenie na tę wysoką maszynę, aby stwierdzić, że nie wyglądała ona na urządzenie do poszukiwania metali. Jej bardzo pobieżny ogląd sugerował coś zupełnie innego; coś niejasno niepokojącego, niemalże groźnego.

— Do diabła, muszę mieć naprawdę niezłe supły w mojej podświadomości, skoro dręczą mnie takie przeczucia — zaklął Carlin. — Ci biedni ludzie po prostu kryją się ze swymi planami, bo wszyscy inni tutaj są do nich podobni.

Podczas gorącego, sennego popołudnia kręcił się znudzony po domu. Nie miał z kim rozmawiać, bo bracia siedzieli w swoim warsztacie, a Marn zajmowała się wielkimi zbiornikami hydroponicznymi.

Pomajstrował trochę przy starym aparacie wideo w salonie, ale jedyne stacje, jakie był on w stanie odbierać, to lokalne ziemskie, a wykłady o hydroponice i plotki o nieznanych ludziach nie interesowały go.

W końcu dał sobie spokój i wyciągnął się na werandzie, wpatrując się sennie w zielone siodło doliny i przeklinając psychoterapeutę, którego szalone pomysły wysłały go tutaj, by umarł z nudów. Drzemał tak długo, aż obudził go łoskot nadjeżdżającej ato-ciężarówki.

Przyjechało nią trzech patykowatych młodzieńców, wysokich Ziemian, którzy od razu poszli na tyły do warsztatu, nie zatrzymując się w domu. Pewnie pozostali partnerzy biorący udział w wyprawie poszukiwawczej, jak przypuszczał sennie Carlin.

Znowu ogarnęło go to dziwne wrażenie czegoś groźnego, niejasne przeczucie, które uczepiło się go od chwili, gdy zajrzał do warsztatu. Gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć, co mu przypominała ta maszyna.

Mijały dni, a Carlin wciąż nie mógł sobie tego przypomnieć, choć jego niepokojące rozterki nadal go trapiły. Nie było szans na kolejne zerknięcie do warsztatu, gdyż był on zawsze zamknięty, z wyjątkiem sytuacji, kiedy pracowali w nim Jonny i Harb oraz cała gromada ich wspólników.

— Problem ze mną — powiedział sobie ironicznie Carlin — polega na tym, że nie mam nic innego do roboty, nie mam nic co mogłoby zająć mój umysł na tej przeklętej planecie.

A jednak pierwsza odpychająca niechęć Carlina do Ziemi, znacznie już wyblakła. Surowy styl życia, brak cywilizowanych wygód, nie przeszkadzały mu już tak bardzo. Musiał przyznać, że niezależnie od tego, czy leczenie na Ziemi przynosiło korzyści jego pokręconej podświadomości, ta senna, stara planeta była dobrym miejscem na wypoczynek.

Poranki spędzał na leniwym przemierzaniu krętych dróg, popołudnia na chłodnej, zacienionej werandzie starego domu, albo pomagając Marn przy zbiornikach hydroponicznych. Czasami łowił ryby z Grampem w spienionym strumieniu poniżej łańcucha wzgórz, zaś starzec opowiadał mu niekończące się historie o dawnych czasach, kiedy wędrował po kosmosie.

Sąsiedzi, farmerzy hydroponiczni z góry i z dołu doliny, wpadali wieczorami do domu Landa. Carlin nie narzucał się im, tak więc stopniowo ich pierwsze podejrzenia wobec niego osłabły i zaczęli rozmawiać z nim swobodnie. Rozmowy zawsze dotyczyły najważniejszej kwestii na tej pozbawionej energii planecie - zapotrzebowania na miedź. Carlin czuł się trochę winny, pamiętając, jak wiele jej marnuje się na innych światach.

— Muszę jutro jechać do portu kosmicznego po pewne przyrządy, które zostały na statku. — Powiedziała mu Marn pewnego wieczora, po kolacji. — Chce się pan ze mną zabrać?

Carlin uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Ostatnio tak dużo nachodziłem się po okolicy, że jazda dokądkolwiek byłaby miłą odmianą.

Stara ato-ciężarówka kołysała się we wszystkie strony, pędząc krętą drogą ze wzgórz, w blasku zachodzącego słońca. Niebo za nimi pełne było fantastycznych, zlewających się razem kolorów, gdy czerwona kula Sol zanurzała się majestatycznie za linią horyzontu.

Pomimo uznania dla tego dzikiego widoku, Carlin czuł niejasny niepokój. Dlaczego piękno wieczoru miałoby ożywić w jego myślach niepokojące wspomnienie zagadkowej maszyny Jonny'ego Landa?

— Coraz bardziej się tu panu podoba, prawda? — zapytała Marn.

Zwykle była przy nim taka milcząca, że Carlin zerknął szybko na profil jej twarzy, gdy prowadziła samochód. Ze zdziwieniem uderzyło go, że jej postać kryła w sobie pewne piękno. Gęsta grzywa popielatych włosów i twarz o mocnych rysach, a także małe, kompetentne dłonie trzymające kierownicę, wydały mu się nagle dziwnie atrakcyjne. Nie było to tak finezyjne, bijące w oczy piękno, jakie posiadała Nila, ale miało ono swój urok.

— Tak, chyba coraz bardziej się do tego przyzwyczajam — odpowiedział na jej pytanie. — I nie jest tu tak prowincjonalnie, jak myślałem. Prawie wszyscy ludzie, których spotkałem na Ziemi, byli w tym czy innym czasie w kosmosie.

— Każdy ziemski chłopak prędzej czy później ucieka w kosmos — powiedziała i uśmiechnęła się. — Podążanie w kosmos mamy we krwi. A nasza planeta jest obecnie taka biedna, że to jedyny sposób, w jaki

większość naszych mężczyzn może zarobić na życie. — Dodała: — Część z naszych rodaków nigdy nie wraca. Mój ojciec nie wrócił. A moja matka umarła, kiedy on zginął.

Był już zmierzch, gdy dotarli do portu kosmicznego. Kiedy szedł z dziewczyną wzdłuż krawędzi lądowiska, w stronę statku jej braci, ona pociągnęła go w bok, ku wysokiej kolumnie, która w półmroku zmierzchu strzelała widmowo w górę.

— To stąd pierwszy z Ziemian odleciał w kosmos — powiedziała mu.

Popatrzył na głęboko wyryty opis na cokole strzelistej kolumny. Był to Pomnik Pionierów Kosmosu.

— Gorham Johnson wystartował w swój pierwszy lot z tego właśnie miejsca — powiedziała Marn.

Carlin wytężył oczy w gasnącym świetle zmierzchu, by odczytać serię nazwisk i dat wyrytych na cokole.

Gorham Johnson, 1991 r.
Mark Carew, 1998 r.
Jan Wenzi, 2006 r.
John North, 2012 r.

Nazwiska ludzi, którzy dawno temu po raz pierwszy odważyli się wyruszyć w kosmos, ludzi którzy po raz pierwszy podążyli za marzeniami na pobliskie planety, wtedy wydające się tak odległe, ludzi którzy po raz pierwszy ruszyli w stronę gwiazd i otworzyli galaktykę.

— Boże, ponad dwa tysiące lat temu — mruknął Carlin. — Jakie dziwne, małe statki musieli mieć.

Rozbudziło to jego wyobraźnię. Ta prosta seria nazwisk dawno zmarłych ludzi, w jakiś sposób po raz pierwszy naprawdę mu to wszystko przybliżyła.

Te stare, żałośnie kruche stateczki, ogromna odwaga tych ludzi, dla których kosmos był całkowicie nieznaną otchłanią. Zaczął rozumieć, dlaczego turyści przybywali z całej galaktyki, by zobaczyć te miejsca wspomnień.

— Oni i ich małe statki zapoczątkowali to wszystko, całą galaktyczną cywilizację, ogromne ludzkie imperium — stwierdził w zadumie.

Marn spoglądała w górę na ginącą w zmierzchu strzelistą iglicę.

— Ludzie krytykują nas, Ziemian, za naszą dumę. Ale to właśnie dlatego jesteśmy dumni. Jesteśmy ludźmi, którzy otworzyli granice Wszechświata.

Carlin przytaknął zamyślony.

— Macie wspaniałe dziedzictwo. Ale być może zbyt dobrze je pamiętacie. To jest teraźniejszość, a nie przeszłość.

— Jesteś jak wszyscy inni, myślisz, że historia Ziemi się skończyła — oznajmiła wyzywająco Marn. — Zobaczysz, że jest inaczej. Ziemianie otworzą ostateczną granicę całego… — opanowała się nagle, a potem powiedziała, skruszona: — Przepraszam. Nie chciałam wszczynać kłótni.

Carlin chciał ją spytać, co miała na myśli, ale Marn ruszyła już ponownie przez pogłębiające się ciemności w stronę statku brata.

Wszedł z nią do poobijanego krążownika międzyplanetarnego i rozejrzał się po nim z ciekawością. Był to średniej wielkości statek, zaprojektowany dla obsługi przez minimalną załogę, z ponadwymiarowymi cyklotronami i urządzeniami napędu falowego, z płytami napędowymi na przedzie i na tyle, oraz z niezwykle potężnym zestawem generatorów ekranów cieplnych.

— Gorąca strona Merkurego jest straszna — wyjaśniła Marn widząc jak spogląda na generatory. — Aby poszukiwać tam surowców, potrzebne są najsilniejsze ekrany cieplne, jakie da się zdobyć.

W śródokręciu Carlin zauważył duże, puste, okrągłe pomieszczenie lub ładownię. Nie było w niej niczego poza ramą z dźwigarów, zaprojektowaną do utrzymania czegoś nad przesuwną płytą w podłodze.

Przypomniał sobie wielką maszynę Jonny'ego w warsztacie. Pasowałaby do tej ramy. Chętnie dokonałby dokładniejszych oględzin, ale Marn znalazła przyrządy, po które przyszła.

Gdy wyszli ze statku, w gęstniejących ciemnościach zmierzchu przywitała ich uprzejmym tonem szczupła, umundurowana postać.

— Witaj, Marn. Zauważyłem cię gdy szłaś po płycie. Jak tam Jonny'emu idzie realizacja jego planów?

Był to młody mężczyzna w szarym mundurze Operacji Kontroli, agencji stojącej na straży prawa i porządku w całej galaktyce. Skinął głową w stronę Carlina.

— Jestem Ross Floring, tutejszy dowódca Operacji Kontroli. Pan jest tym pacjentem leczącym się na Ziemi, który mieszka u Landów? Miło mi pana poznać.

Floring miał nie więcej niż trzydzieści lat, był energicznym, przystojnym, sympatycznym młodym człowiekiem. Odwrócił się z powrotem do Marn.

— Kiedy Jonny i jego przyjaciele planują wystartować na Merkurego?

Marn wyglądała na zakłopotaną.

— Nie wiem, Ross. Zostało im jeszcze parę rzeczy do przygotowania, jak mówią.

Carlin w jakiś sposób wyczuł gęstniejącą atmosferę napięcia. W zachowaniu Floringa widać była determinację, której nie wyjaśniały jego słowa.

— Bardzo lubię Jonny'ego, Marn — oznajmił poważnym tonem. — Wiesz o tym. Nie chciałbym, żeby w czasie tej wyprawy wpakował się w kłopoty.

Marn zdawała się nie zauważać znaczenia jego słów.

— Jonny nie wpakuje się w żadne kłopoty. Podróż na Merkurego, dla Harba i dla niego, to drobiazg.

— Mam szczerą nadzieję, że tak będzie — odparł cicho Floring. — Miedź nie jest warta, żeby tak wiele dla niej ryzykować. Przekaż mu, że tak powiedziałem, dobrze? I powiedz, że któregoś dnia wpadnę, żeby z nim porozmawiać.

Marn ewidentnie miała ochotę aby się oddalić. Carlin, zdziwiony, podążył za nią.

— Jeszcze się z panem zobaczę, panie Carlin — zawołał za nim uprzejmie Floring. — Możemy porozmawiać o domu. Tak, ja też pochodzę z Canopusa.

Dopiero gdy znaleźli się w jadącej w stronę domu ato-ciężarówce, Carlin zdał sobie sprawę, że nie podawał Floringowi swojego nazwiska ani miejsca z którego pochodził. Dlaczego Operacje Kontroli miałyby zadawać sobie trud sprawdzania tego?

— Floring wydawał się miłym gościem — powiedział do Marn. Dziewczyna przytaknęła, wyraźnie zmartwiona.

— I jest… jednym z najlepszych ludzi na świecie — odparła. — I lubi Jonny'ego. Ale zapomniałby o wszystkim innym aby wykonać swoje obowiązki.

Dziewczyna, najwyraźniej, myślała na głos, zamiast odpowiedzieć Carlinowi. Zastanawiał się ponownie nad tą dziwną atmosferą napięcia, w jakiej toczyła się rozmowa. Zabrzmiało to prawie tak, jakby Floring ją ostrzegał.

ROZDZIAŁ V
Desperacka gra

Ciężarówka sapiąc i jęcząc wspinała się ciemną, starą drogą, na łańcuch wzgórz. Na aksamitnie czarnym niebie gwiazdy świeciły jak rzeki błyszczącego światła. Wega, Arktur, Altair – wyglądały na bardzo odległe.

Kiedy Marn zatrzymała ciężarówkę na tyłach domu, było w nim ciemno, choć w warsztacie wciąż paliły się światła. Otaczała ich spokojna, uderzająca do głowy cisza rozgwieżdżonej letniej nocy.

— Muszę zabrać te rzeczy i zanieść je do Jonny'ego — poinformowała go dziewczyna.

— Marn, co tak naprawdę planują pani bracia? — spytał ją Carlin. — Czy Floring wie?

Wykręciła się ze skrępowaniem.

— Jonny sam powiedział panu wszystko o swoich planach, prawda?

Była takim marnym kłamcą. Ale w świetle gwiazd, gdy patrzyła na niego z zatroskaną bladą twarzą, tak dziwnie go pociągała, że nagły impuls sprawił, iż Carlin nachylił się ku niej i ją pocałował.

Jej drobne ciało w jego ramionach było jędrne i ciepłe, a zimnym wargom brakło tchu. Ale nie odsunęła się od niego.

Popatrzył na nią z góry.

— Nie masz nic przeciwko temu, prawda? — spytał.
— Nie, nie mam nic przeciwko temu — odparła Marn, jej głos nadal był zduszony. — To przecież zupełnie normalne, że przybysz z gwiezdnego świata, przed swym wyjazdem zaangażuje się w niewielki flirt z ziemską dziewczyną, czyż nie?
— Ale to nie tak! — Carlin zaczął protestować, lecz po chwili się powstrzymał.
W końcu, co to było, jeśli nie to? Co to mogło być, jeśli nie to?
— Wszystko w porządku, ale proszę cię, nie rób tego więcej — powiedziała cicho Marn. — Dobranoc, Laird.
Wszedł do domu czując przygnębienie i zamyślony. Żałował teraz, że uległ temu impulsowi. Marn nie była wyrafinowaną kobietą.
Leżąc w swoim łóżku i patrząc przez okno na odległe latarnie portu kosmicznego w dole doliny, Carlin usłyszał, jak weszła i położyła się do snu. Najwyraźniej Jonny i Harb nadal pracowali.
Nad czym tak naprawdę pracowali? Dlaczego Floring był tak poważny w swych zawoalowanych ostrzeżeniach?
— Och, do diabła, to nie moja sprawa — ziewnął Carlin. — W tym małym układzie nie ma zbyt wielu rzeczy, przez które mogliby wpaść w kłopoty. Nic poza ośmioma czy dziewięcioma małymi planetami i jednym średniej wielkości słońcem.
Carlin nagle poderwał się siadając wyprostowany w łóżku, podczas gdy jego umysł zastanawiał się nad tą ostatnią myślą.
— Słońce? Dobry Boże, to właśnie jest to, co im przyszło do głowy! To musi być to! Górnictwo słoneczne!
Był oszołomiony, przerażony tym nagłym błyskiem objawienia. Niepokojąca tajemnica, która nękała go od pierwszych chwil pobytu tutaj, nagle ukształtowała się wyraźnie, gdy wszystkie kawałki układanki dopasowały się razem w jego głowie.
— Chyba nie byliby aż tak szaleni, żeby tego próbować, z pewnością! A jednak to wszystko pasuje do siebie – ekrany cieplne na ich statku, utrzymywana wokół tego wszystkiego tajemnica. A ta maszyna, którą widziałem, to może być wielki czerpak magnetyczny!
Górnictwo słoneczne! Przedsięwzięcie najbardziej surowo zabronione, od lat zakazane przez Radę Kontroli, odkąd pierwsze katastrofalne próby prawie zniszczyły pewne układy planetarne.
Wizje przerażających możliwości wypełniły umysł Carlina, obrazami desperacko lekkomyślnej próby wywołania katastrofy na wewnętrznych planetach tego małego układu.
— Ale Jonny Land przecież by tego nie próbował zrobić! On jest inżynierem kosmicznym, wie, co by się stało.
Carlin nie był w stanie przekonać nawet samego siebie. Pamiętał widoczną aż nazbyt wyraźnie intensywną obsesję Jonny'ego na punkcie braku miedzi na Ziemi, jego cichą determinację.
A Floring musiał podejrzewać jakąś część prawdy! To właśnie skłoniło oficera kontroli, do udzielenia jego poważnego zawoalowanego ostrzeżenia.

Carlin wstał i gorączkowo się ubrał. Musiał poznać prawdę, teraz, natychmiast. Jeśli bracia Land i ich przyjaciele rzeczywiście byli skłonni do tak szalonego przedsięwzięcia, trzeba było ich powstrzymać, nawet jeśli oznaczało to poinformowanie przez niego Operacji Kontroli.

„Gdybym mógł choć raz przyjrzeć się dobrze wnętrzu tej ich maszyny, mógłbym szybko stwierdzić, czy to rzeczywiście jest czerpak magnetyczny” — pomyślał.

Przekradł się cicho na dół przez ciemny dom i wyszedł na światło gwiazd. Z warsztatu wciąż wylewało się światło i dochodziły z niego odgłosy aktywności.

Carlin skradał się w jego stronę. Nienawidził tego całego szpiegowania. Ale musiał się dowiedzieć. Nie mógł pozwolić na szaloną próbę rozpętania katastrofy.

Warsztat był zamknięty, nie było też żadnych okien. Ale kiedy stał niezdecydowany, wielkie drzwi frontowe otworzyły się i ze środka wyszedł Loesser oraz dwóch innych młodych Ziemian, przecierających ze zmęczenia oczy.

— Wrócimy jutro, Jonny — zawołał Loesser z powrotem do wnętrza budynku. — Powinniśmy skończyć go w ciągu kilku dni.

Cała trójka ze znużeniem skierowała się w stronę swojej ato-ciężarówki i odjechała. Drzwi pozostały chwilowo otwarte.

Carlin ruszył do przodu i ze skrytego w ciemności miejsca, zajrzał do dużego, oświetlonego pomieszczenia. Jonny i Harb Land zakładali właśnie metalową osłonę na centralny mechanizm, zanim i oni zakończą pracę.

Jeden rzut oka na wnętrze maszyny wystarczył doświadczonym oczom Carlina. Te wielkie cewki magnetyczno-prądowe, ta masywna głowica, ta bateria filtrów Markheima – miał rację, to wszystko zwiastowało katastrofę.

Mały, twardy przedmiot wbił się w plecy Carlina, a do ucha przemówił mu pulsujący gniewem głos.

— To jest pistolet atomowy. Podnieś ręce. Nie chcę cię skrzywdzić.

— Marn! — wykrzyknął, oszołomiony.

— Nie odwracaj się! — ostrzegła go dziewczyna. Jej głos rwał się z gniewu. — Słyszałam, jak wstałeś i przyszłam tutaj za tobą. Jesteś szpiegiem!

Carlin był tak oszołomiony przerażeniem z powodu odkrycia prowadzących do katastrofy planów braci, że zareagował na wbijającą mu się w plecy broń, automatycznym, rozpaczliwym odruchem. Wykręcił się i chwycił za pistolet atomowy.

Gdyby broń znajdowała się w ręku kogokolwiek innego niż Marn, byłoby to samobójstwo. Ale dla Marn, tak samo jak i dla niego, śmiertelna przemoc była czymś zupełnie obcym. Pozwoliła więc, by jej palec zbyt długo wahał się czy nacisnąć spust. Być może nawet nigdy by nie wystrzeliła. Rozmyślając nad tym później, nie był pewien jej reakcji.

Stało się więc to, co się stało, a mianowicie, że zanim ta chwila zawahania dobiegła końca, złapał ręką smukły pistolet i wyrwał go z jej uchwytu. Marn, z pobladłą twarzą, zawołała gorączkowo:

— Harb! Jonny!

Obaj bracia wybiegli z tyłu oświetlonego warsztatu, kanciasta twarz Harba zrobiła się ciemna i śmiertelnie groźna, gdy zobaczył co się dzieje.

Carlin odskoczył do tyłu, uniósł broń, którą właśnie odebrał dziewczynie.

— Cofnijcie się! — rozkazał chrypliwie. I kiedy Harb Land, zaślepiony wściekłością, ruszył na niego, dodał: — Nie chcę nikogo zabijać!

W odpowiedzi zabrzmiał rozkazujący głos Jonny'ego. Chuda, opalona twarz chromego młodzieńca była ściągnięta, ale nie stracił zimnej krwi.

— Harb, stój!

Wszystko zamarło jakby w dziwnym żywym obrazie, na którym Harb Land wyciągnął się w jego stronę i stojąc bez ruchu, jego gigantyczna postać drżała z gniewu, wielkie pięści zaciskały się, gdy spoglądał płonącym wzrokiem na Carlina.

— Mówiłem ci — powiedział ochrypłym głosem Harb, przez ramię do swego brata. — Mówiłem ci, co się stanie, jeśli go przyjmiemy.

Marn podbiegła w ich stronę, z bladą i wykrzywioną twarzą.

— To moja wina, Jonny — powiedziała zrozpaczona. — Usłyszałam, że on wyszedł i poszłam za nim, ale pozwoliłam mu zabrać sobie broń, zamiast strzelić.

— Cicho, Marn — uspokajał ją Jonny. — Wszystko będzie dobrze. Carlin po prostu nie rozumie.

Chromy młodzieniec, w tej pełnej napięcia chwili, stał się nagle najważniejszym z nich wszystkich, dominującą tu osobowością.

— Rozumiem, wszystko doskonale — oświadczył gorąco Carlin. — Domyśliłem się wszystkiego dziś wieczorem, a jeden rzut oka na ten magnetyczny czerpak potwierdził moje przypuszczenia. — Jego głos kipiał narastającym gniewem, który czuł. — Wybierałeś się na poszukiwania rudy na Merkurego, co? Wcale nie miałeś takiego planu. Ty i twoi partnerzy przygotowywaliście się do próby wydobycia na Słońcu.

Oczy i głos Jonny'ego były spokojne, gdy odparł:

— Carlin, Ziemia rozpaczliwie potrzebuje energii. Sam się o tym przekonałeś. Aby uzyskać energię, która ożywi nasz świat, musimy zdobyć miedź. A zasoby miedzi na naszych planetach uległy wyczerpaniu już dawno temu. Ale w naszym Układzie wciąż są miliardy ton miedzi, w jednym miejscu. Na Słońcu. W gorących gazach jest tam więcej miedzi niż Ziemia i jej siostrzane planety będą potrzebować przez najbliższe tysiąclecia. To jedyne możliwe do osiągnięcia przez nas źródło miedzi i zamierzamy je wykorzystać.

— Ty i twoi kumple tak długo rozmyślaliście nad brakiem miedzi, że poszaleliście! — oznajmił Carlin, jego gniewny głos chłostał jak bicz.

— A cóż szalonego jest w naszym planie wykorzystania miedzi ze Słońca dla naszej planety? — zapytał pewnym głosem Jonny.

— Ty, inżynier kosmiczny, pytasz mnie o to? — zawołał Carlin. — Wiesz równie dobrze jak ja, że górnictwo słoneczne przyniesie katastrofę!

Och, możecie zbliżyć się do Słońca waszym statkiem, wiem. Dacie radę wyssać z niego tyle gazowej miedzi, ile będziecie chcieli, za pomocą tego czerpaka magnetycznego. Ale co się stanie z waszym Słońcem, kiedy to zrobicie?

— Wiesz równie dobrze jak ja, co by się stało, co zawsze się działo, kiedy tego próbowano. Ssanie wytworzy na powierzchni Słońca wir, maleńką plamę słoneczną, która będzie coraz bardziej rosnąć, aż rozrośnie się w straszliwy tajfun słoneczny. Zaleje on wasze planety katastrofalnie wielkimi ilościami ciepła i siły elektrycznej. Wiesz, że działo się tak za każdym razem, kiedy próbowano wydobycia na słońcach i dlatego Rada Kontroli zabrania górnictwa słonecznego.

Jonny Land spokojnie przytaknął.

— Wiem o tym wszystkim. Ale powiedzmy, że znalazłem sposób na prowadzenie górnictwa słonecznego bez wywoływania plam słonecznych?

Niedowierzanie pobrzmiewało w głosie Carlina twardymi nutami.

— Nie znalazłeś. Nikt jeszcze tego nie zrobił. Po prostu nie ma takiego sposobu – kiedy wysysa się gazy z dowolnego punktu na słońcu – obniża się w tym punkcie ciśnienie, zaś obniżone ciśnienie automatycznie wytwarza wir.

— Carlin, ja znalazłem taki sposób! Mówię ci, dzięki niemu możemy wyssać ze Słońca nieograniczoną ilość miedzi, nie tworząc przy tym ani jednej, choćby najmniejszej, plamy na Słońcu!

Laird Carlin wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Mówisz tak, bo wiesz, że zgłoszę twoje plany do Operacji Kontroli.

— Nie zrobiłbyś tego! — zawołała z niedowierzaniem Marn.

Carlin stanowczo potwierdził swoje poprzednie słowa.

— Nie chcę, ale muszę. Nie mogę pozwolić, aby banda szaleńców sprowadziła na siebie katastrofę, która może wypalić całe życie na waszych planetach wewnętrznych.

Chuda twarz Jonny'ego Landa rozbłysła zirytowanymi emocjami, gdy pokuśtykał do przodu nie zważając na pistolet w dłoni Carlina.

— Carlin, człowieku, bądź rozsądny! Jak przypuszczasz, dlaczego pozwoliłem ci tu przyjechać i zamieszkać z nami? To dlatego, że jesteś inżynierem kosmicznym, a ja będę potrzebował pomocy innego wyszkolonego inżyniera w obsłudze tego urządzenia. A czy wyobrażasz sobie, że mógłbym pomyśleć, iż uda mi się uzyskać twoją pomoc, jeśli nie przekonam cię, że znalazłem sposób na bezpieczne wydobycie na Słońcu? Potrafię cię przekonać, Carlin!

Carlin czuł przekonanie w głosie Jonny'ego. To, co mówił chromy młodzieniec, logicznie wyjaśniało coś skądinąd zastanawiającego – dlaczego w ogóle przyjęli go do swego domu, skoro ich praca była aż tak tajna.

Przypomniał sobie teraz, iż dopiero gdy Jonny Land dowiedział się, że Carlin jest inżynierem kosmicznym, który po raz pierwszy znalazł się na

Ziemi, młody Ziemianin okazał nim zainteresowanie i zaoferował mu nocleg.

— Jedyne, o co proszę — mówił Jonny ze szczerością w głosie, — to abyś dał mi szansę wyjaśnienia ci naszych planów. Wiem, że potrafię cię przekonać, że możemy prowadzić operacje górnicze na Słońcu, bez najmniejszego zagrożenia katastrofą.

— Jeśli to prawda — dopytywał się sceptycznie Carlin, — to dlaczego nie przekonałeś o tym Rady Kontroli i nie uzyskałeś pozwolenia na górnictwo słoneczne, zamiast próbować przeprowadzić to wszystko w tajemnicy?

— Carlin, naprawdę próbowałem przekonać Radę — oświadczył Jonny Land. — Składałem do nich jedną petycję po drugiej, podając im pełne szczegóły mojego planu. Ale Rada nie składa się z inżynierów. A powszechne uprzedzenia wobec górnictwa słonecznego, z powodu tych dawnych katastrof, są tak silne, że Rada odmówiła nam pozwolenia na podjęcie próby.

— To dlatego Ross Floring i inni z Operacji Kontroli obserwują moich braci tak uważnie, Laird — dodała szybko Marn. — Wiedzą o naszych petycjach, a Floring podejrzewa, że Jonny i tak zamierza spróbować tej rzeczy.

Wszystko to logicznie do siebie pasowało, Carlin musiał to przyznać. Mimo to nadal stał nieugięty, z atomowym pistoletem w dłoni.

— Oto moja propozycja, Carlin — powiedział Jonny. — Rano wyjaśnię ci każdy szczegół naszego planu. Jeśli nie przyznasz wtedy, że plan jest całkowicie wolny od groźby katastrofy, puszczę cię i powiesz wszystko Floringowi. Daję ci na to moje słowo.

Carlin popatrzył na niego z powątpiewaniem.

— Jonny, złamałbyś swoje słowo równie szybko jak mój kark, aby zrealizować swój cel dla Ziemi.

Jonny Land uśmiechnął się krzywo.

— To prawda. Ale z drugiej strony, wciąż liczę na twoją pomoc w tym projekcie. Dlatego chcę cię przekonać i to jest najlepsza gwarancja, jaką mogę ci dać.

Carlin wzruszył ramionami, ale powoli opuścił broń.

— Mogę ci już od razu powiedzieć, że nie wezmę udziału w żadnym takim nielegalnym przedsięwzięciu — oznajmił stanowczo. — Ale jestem skłonny by wysłuchać twoich wyjaśnień.

— No cóż — stwierdził Jonny z westchnieniem zmęczenia, — chyba wszyscy mamy dosyć dramaturgii, jak na jeden wieczór. Harb, zamknij warsztat i udajmy się na spoczynek.

Carlin spoglądał z lekkim skrępowaniem na Marn, gdy oddawał jej pistolet atomowy.

— Przepraszam, jeśli wydaję się odpłacać niewdzięcznością za waszą gościnność — powiedział jej. — Po prostu nie potrafię stać z boku i nic nie robić, jeśli jakiś szalony pomysł grozi sprowadzeniem powszechnej katastrofy.

— Wiem — odparła poważnie Marn, a na jej twarzy nie było widać wrogości. — Ale przekonasz się, że Jonny wie, co robi.

Z ciemności za ich plecami odezwał się skrzekliwy głos, który sprawił, że Laird Carlin odwrócił się w zdumieniu.

— No cóż, muszę przyznać, że cieszę się, iż wy, ludzie, zrezygnowaliście z kłótni. W każdym bądź razie, na dzisiejszy wieczór. Już czas, żeby wszyscy porządni ludzie znaleźli się w łóżkach.

Z tyłu, w ciemnościach, stał Gramp Land, który najwyraźniej znajdował się tam już od jakiegoś czasu. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, kiedy opuścił ciężki karabin atomowy, który trzymał w ręku.

— A już z pewnością zmęczyło mnie trzymanie tego cholerstwa wycelowanego w pańskie plecy, panie Carlin — zachichotał.

ROZDZIAŁ VI
Jesteście winni Ziemi tę szansę!

Wątpliwości opadły Carlina niemal natychmiast po położeniu się do łóżka. Nie mógł spać, przez resztę tej nocy.

Czy zachował się dziecinnie, dając się przekonać Jonny'emu do wysłuchania jego planu? Jonny brzmiał dosyć szczerze, ale fanatycznie podchodził do tej konkretnej kwestii, jaką było zapewnienie energii dla Ziemi.

Lekkomyślność Ziemian była przysłowiowa. Ci ludzie, zdesperowani długim dumaniem nad biedą swojej planety, w swym obsesyjnym pragnieniu zdobycia miedzi, mogli nie myśleć o zagrożeniu sprowokowania katastrofy Słońca.

Carlin poczuł chłód. Pamiętał, co wydarzyło się przed laty na gwieździe Mizar, gdy próbowano z tego słońca wydobywać miedź. Magnetyczne czerpaki szybko wywołały wir w gazach na powierzchni gwiazdy, burzę słoneczną, która rozprzestrzeniła się z katastrofalną szybkością.

Skończyło się to pochłonięciem statków wydobywczych przez nagły zalew ogromnego gorąca, wypaleniem wewnętrznych planet, które siało zniszczenie, zanim plamy zanikły.

Podobnie było nieco później, na Polaris i na Delcie Bliźniąt. Nic dziwnego, że wezbrał taki powszechny gniew przeciwko górnictwu słonecznemu, że Rada Kontroli surowo zabroniła dalszych jego prób! Nauka ludzka, choć wspaniała, nie była jeszcze na tyle wspaniała, by odważyć się na manipulowanie gwiazdami.

Zdawał sobie jednak również sprawę, z jaką nieuchronnością ci Ziemianie musieli kierować swe myśli ku górnictwu słonecznemu. W ich Układzie nie było już żadnych innych zasobów miedzi poza jednym ciałem – ich Słońcem. A ono zawierało nieograniczone ilości tego metalu energetycznego, w formie oparów. Nic dziwnego, że wpadli na pomysł, by wykorzystać metal ze swego Słońca.

Carlin zasnął krótko przed świtem, ale obudził się wraz ze wschodem słońca i zszedł na dół, gdzie zastał innych siedzących już przy śniadaniu. Przywitali go, wszyscy poza Harbem Landem, który zachowywał kamienne, groźne milczenie.

— Wyjdziemy i pokażemy ci naszą pracę, jak tylko zjesz śniadanie — powiedział spokojnie Jonny.

Gramp Land był jedynym z obecnych, który pozostawał w dobrym nastroju. Staruszek zażartował z Carlina.

— To z pewnością dobrze, że wczoraj wieczorem zachowałeś rozsądek. Z prawdziwą niechęcią musiałbym cię zastrzelić.

Marn uśmiechnęła się lekko.

— Nie zrobiłbyś tego. Masz zbyt miękkie serce, żeby zabić nawet muchę.

— Ho, o czym ty mówisz? — wykrzyknął Gramp z oburzeniem. — Kiedy byłem młody, nazywali mnie najtwardszym Ziemianinem w całym kosmosie.

Carlin w milczeniu wyszedł do warsztatu z Harbem i Jonnym. Chromy młodzieniec otworzył budynek, a następnie gestem wskazał ręką w stronę wysokiej, cylindrycznej maszyny.

— Przyjrzyj się najpierw sam — zaprosił.

Carlin przypatrzył się mechanizmowi okiem profesjonalisty. Czerpaki magnetyczne leżały trochę poza obszarem jego zainteresowań, jednak zasada działania urządzenia była wystarczająco jasna.

— Znasz podstawowe zasady górnictwa słonecznego? — spytał Jonny. — Statek zbliża się do fotosfery lub widzialnej powierzchni słońca tak blisko, jak to tylko możliwe, chroniony przed promieniowaniem przez mocne ekrany przeciw-cieplne. Następnie włączany jest czerpak magnetyczny. Czerpak wytwarza pole magnetyczne o dużej mocy, skoncentrowane we wiązkę. Wiązka ta kierowana jest w dół, ku wirującym super gorącym gazom na powierzchni słońca.

— Gazy te składają się z dziesiątków metali i innych pierwiastków w postaci oparów – żelaza, miedzi, sodu, wapnia i tak dalej, wszystkie zmieszane są razem. Wiązka ściąga kolumnę tych gazów słonecznych na statek. Jej magnetyczna siła przyciągania silnie przyciąga opary żelaza w mieszaninie, i dzięki temu jest ona gwałtownie zasysana do góry.

Wskazał ręką na masywne, wystające w dół dysze emitera wielkiej maszyny.

— Zassane gazy przechodzą przez filtry Markheima, które można ustawić tak, aby oddzielały atomy dowolnie wybranego pierwiastka. Gazy miedziane są oddzielane, zestalane poprzez schłodzenie i magazynowane. Pozostałe gazy przechodzą swobodnie przez filtry.

Carlin skinął krótko głową.

— I te niepożądane gazy wyrzucane są w kosmos. Kolejne porcje mieszaniny słonecznej nieustannie wciągane są na górę, i tak dalej, aż statek wypełni się miedzią. Tak, to ten sam schemat, który wykorzystywany był przez górników słonecznych z Mizara i Polaris. I przyniesie dokładnie taki sam efekt! Zasysanie gazów z dowolnego punktu powierzchni słońca spowoduje obniżenie w tym punkcie ciśnienia. Zaś

obniżone ciśnienie natychmiast i nieuchronnie uruchamia tam tworzenie wiru gazowego, rozrastający się maelstrom lub plamę słoneczną!

Jonny Land pokręcił przecząco głową.

— Carlin, wyciągasz pochopne wnioski. Ten czerpak nie wyrzuca tak po prostu niepotrzebnych gazów w kosmos, jak poprzednie konstrukcje. Przyjrzyj się dokładniej tej głowicy wiązki.

Carlin przyjrzał się urządzeniu. I po krótkich oględzinach ciekawie zaprojektowanej, koncentrycznej konstrukcji głowicy wiązki, poczuł zdumienie.

— Nie rozumiem tego. Wygląda, jakby były tu dwa pierścienie głowicy wiązki, jeden wewnątrz drugiego.

— To — wyjaśnił Jonny, — jest sedno mojego planu. Obniżone ciśnienie w powierzchni słonecznej, tworzy w miejscu zasysania wir, plamę słoneczną. Ale załóżmy, że możemy zasysać gazy nie powodując spadku ciśnienia?

Carlin wpatrywał się w niego.

— Jak?

— Dzięki dwóm głowicom wiązki — odparł z zapałem chromy młodzieniec. — Wewnętrzna to ta, która emituje wiązkę o dodatnim przyciąganiu magnetycznym, aby zasysać gazy słoneczne. Zewnętrzna jednocześnie ma za zadanie tworzyć ujemne pole magnetyczne, aby wyrzucać niewykorzystane gazy z powrotem w dół, na słońce.

Sens tego pomysłu błyskawicznie stanął Carlinowi przed oczyma, a możliwości z nim związane zakotłowały się w jego głowie.

Nic nie powiedział, ale wczołgał się pod potężny czerpak i przez kilka minut sprawdzał od środka i od zewnątrz głowicę wiązki, rury doprowadzające i odcinające. W końcu wrócił do swojego rozmówcy.

— I co? — rzucił wyzywająco Jonny Land.

Carlin przygryzł wargę.

— Muszę przyznać, że twoja konstrukcja wygląda dosyć praktycznie. Powinieneś być w stanie zasysać gazy bez efektu tworzenia plam słonecznych, dzięki wykorzystaniu tego nieustannego wyrzutu wstecznego. Ale…

— Ale, co? — dopytywał się Harb Land, marszcząc czoło.

Carlin pokręcił głową.

— Do diabła, nie rozumiem, dlaczego Rada miałaby odrzucić twoją petycję, jeśli to jest wykonalne, tak jak się wydaje.

Jonny wzruszył ramionami.

— Powiedziałem ci dlaczego. Rada Kontroli grupuje najlepszych mężów stanu w galaktyce. Mężów stanu, a nie inżynierów. Przyznali, że raporty ich ekspertów na ten temat, wykazały że jest to teoretycznie wykonalne. Ale oznajmili, że zbyt niebezpieczne byłoby ryzykowanie próby sprawdzenia tej teorii, jeśli chodzi o oddziaływania na słońca. Nie potrzebujemy miedzi aż tak bardzo, jak stwierdzili.

Pięści zacisnęły się mu w nagłej pasji.

— Nie potrzebujemy miedzi! Galaktyka jako całość jej nie potrzebuje, to mieli na myśli. A jakie ma znaczenie, że jedna mała planeta zwana Ziemią więdnie i umiera z braku miedzi, którą zużyła, aby otworzyć przed ludzkością galaktykę? Jakie to ma znaczenie dla kogokolwiek, poza Ziemianami?

Po raz pierwszy Carlin widział, jak Jonny Land daje upust emocjom. Nadludzkie napięcie, które motywowało i zdominowało tego chromego, chudego młodzieńca, przez chwilę rozbłysło na jego twarzy, żarliwe i pełne udręki. Potem jego wąskie ramiona opadły. Stał patrząc na ogromny czerpak z zamyślonymi oczyma, po czym odwrócił się do Carlina.

— Carlin — powiedział na to, — jest tylko jeden sposób, aby udowodnić Radzie, że ta metoda górnictwa słonecznego jest bezpieczna - poprzez jej realizację! To właśnie zamierzamy zrobić. Udamy się na Słońce i wrócimy ze statkiem pełnym miedzi. Wtedy zobaczą, że jest to całkowicie bezpieczne. Wtedy będą musieli wydać pozwolenie. A flota statków wyposażonych w czerpaki może wyssać ze Słońca takie ilości miedzi, że Ziemia w przyszłości będzie miała tyle energii, ile tylko będzie jej potrzebne.

— Widziałeś czerpak i znasz nasze plany. Widziałeś wystarczająco dużo na Ziemi, by wiedzieć, ile nasz sukces znaczyłby dla tej planety. Carlin, czy nadal chcesz powiedzieć o wszystkim Floringowi?

— Chyba nie mógłbyś tego zrobić! — wykrzyknął Harb Land ochryple. — Nie mógłbyś unicestwić wszystkich nadziei, jakie pozostały mieszkańcom naszej planety. Przecież wy – ludzie ze wszystkich gwiezdnych światów – zawdzięczacie tę szansę Ziemi!

Carlin stał tam, rozdarty przez sprzeczne uczucia. Wśród nich do najsilniejszych należał jego ogromny podziw, jako inżyniera, dla pomysłowości i śmiałości rozwiązania problemu przez Jonny'ego Landa.

Ale należało wziąć pod uwagę również inne kwestie. Obowiązkiem jego i każdego obywatela było wspieranie Rady Kontroli. To wsparcie było tym, co utrzymywało galaktyczną cywilizację. Jednak ci Ziemianie, ta mała banda walcząca tak zaciekle o swój starożytny, zniszczony świat, chcieli je zlekceważyć.

— Jonny! — dobiegł ostry krzyk Marn z zewnątrz. — Jonny!

— Coś jest nie tak! — Jonny krzyknął, kuśtykając pospiesznie do przodu.

Szybko wyszli na zewnątrz. Marn biegła w ich stronę i w tej samej chwili usłyszeli dudnienie zbliżającego się ato-samochodu.

— Ross Floring tu jedzie! — wysapała Marn. — Rozpoznałam jego samochód jak wjeżdżał na wzgórza!

Harb wydał z siebie dziki okrzyk, ale Jonny szybko uciął dalsze dywagacje:

— On tu jedzie tylko po to, żeby się rozejrzeć. Podejrzewa, że coś knujemy, ale nie może być pewien. Nie okazujcie żadnych oznak emocji.

Harb wymachiwał gwałtownie w stronę Carlina.

— Ale jeśli on coś powie, Floring dowie się wszystkiego!

Pozdrowił ich przyjemny głos. Ross Floring, szczupły, w szarym mundurze, podjechał pod dom i wysiadł ze swego ato-samochodu.

— Witajcie, ludzie — przywitał się. — Pomyślałem sobie, że wpadnę i zobaczę się z wami. Jonny, nie widziałem cię od tygodni. Za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do portu kosmicznego, spędzasz cały czas zakopany w tym swoim statku.

Jonny uśmiechnął się.

— Przygotowania zabierają nam całkiem sporo wolnego czasu.

Laird Carlin wyczuwał szczerą nić sympatii pomiędzy oficerem Operacji Kontroli a chromym młodym inżynierem. A jednak dało się między nimi wyczuć również niewypowiedziane napięcie. Było ono wyraźnie widoczne za chłodnym uśmiechem Jonny'ego i uprzejmym spojrzeniem Floringa.

Floring popatrzył obok nich, przez otwarte drzwi warsztatu na strzelisty czerpak magnetyczny.

— Czy to twój nowy wynalazek do poszukiwania metali, Jonny? Urządzenie, którego zamierzasz użyć do znalezienia miedzi na Merkurym?

Ruszył w jego kierunku. Harb Land wykonał gwałtowny ruch naprzód, lecz stanowcze spojrzenie brata powstrzymało go.

— Tak, to ono — odparł Jonny. — Chcesz je obejrzeć, Ross?

Floring stał z przekrzywioną głową, spoglądając na ogromną maszynę. Roześmiał się na to pytanie.

— Jonny, przecież wiesz, że nie jestem inżynierem. Coś takiego mnie przerasta. — Odwrócił się w stronę Carlina. — Ale pan, panie Carlin, jest przecież inżynierem kosmicznym. Co pan sądzi o tym nowym urządzeniu do poszukiwania metali Jonny'ego?

Nieprzerwana nawet jednym oddechem cisza opadła przez chwilę na całą grupę. Twarz Floringa była niewzruszona, uprzejma, ale jego cel stał się teraz oczywisty. Wiedząc, że Carlin przybył na Ziemię jedynie jako pacjent, na leczenie na Ziemi, liczył na jego bezstronną prawdomówność.

Carlin czuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Wiedział, że nadszedł czas, aby odegrać rolę dobrego obywatela galaktyki i poinformować Floringa o tym, co się dzieje. Jego obowiązkiem było to zrobić.

Ale nie mógł! Nie mógł zdradzić ostatniej desperackiej nadziei walecznych mieszkańców starej planety w ich walce z przeznaczeniem!

Wiedział, że nie będzie w stanie tego zrobić, od chwili gdy Floring pojawił się tutaj. Odparł tak obojętnie, jak tylko mógł.

— Tak, przejrzałem to urządzenie. To jeden z najbardziej pomysłowych wykrywaczy metali, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem.

Już kiedy mówił, Carlin poczuł dziwną ulgę, która miała niemal ekstatyczny charakter. Wiedział już, że nigdy nie byłby w stanie stanąć na drodze tym ludziom w odważnej, desperackiej walce o odrodzenie ich planety.

Jednak Ross Floring wyglądał na zdumionego. Niewielka zmarszczka oszołomienia i zaskoczenia pojawiła się na jego czole, i wwiercił się wzrokiem w Carlina.

— A więc, aprobuje pan plany Jonny'ego? — cicho oznajmił. — No tak, oczywiście, mogłem przewidzieć, że pana przekona.

Słowa oficera kontroli miały podwójne znaczenie, jasne dla nich wszystkich. A jednak wszyscy je zignorowali.

Floring chwilowo został pokonany. Nie mógł podjąć działań bez opinii eksperta, że stojąca przed nim maszyna służy do celów górnictwa słonecznego. Oczekiwał takiej opinii od Carlina i zawiódł się.

Nie był jednak kompletnie sfrustrowany. Carlin przekonał się teraz, jak rezolutny i zaradny był ten sympatyczny młody oficer.

— Byłoby szkoda, Jonny — zauważył niby przypadkiem Floring — gdyby tę wyprawę spotkała katastrofa i stracilibyśmy projekt twojego nowego urządzenia. Taka wyszukiwarka metali jest zbyt cenna, byśmy mogli ją utracić.

Przez chwilę wszyscy byli zdumieni tą uwagą. Ale już w następnej chwili Floring wyjawił, co miał na myśli. Wyciągnął z kieszeni marynarki malutki aparat fotograficzny, zbliżył się do potężnego czerpaka i nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, pstryknął pół tuzina zdjęć znajdującego się w nim mechanizmu.

Harb Land ruszył do przodu z zduszonym przekleństwem. Ale było już za późno. Floring schował aparat w kieszeni.

— Zachowam te filmy — powiedział spokojnie. — Jeśli twoja maszyna miałaby kiedykolwiek ulec zniszczeniu, w ten sposób jej konstrukcja zostanie zachowana.

— Nie możesz zatrzymać tych filmów! — wykrzyknął gniewnie Harb Land. — Nie masz prawa!

— Chyba nie sądzisz, że mógłbym ukraść wasz projekt? — odparł Floring z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Nie o to chodzi — zaprotestował Harb. — Ale...

— A o co? — spytał spokojnie oficer.

Harb zamilkł, jego kanciasta twarz zmieniła się w kocioł emocji, gdy patrzył z prośbą we wzroku na Jonny'ego.

Carlin zrozumiał spryt zagrania Floringa. Nie mogli oprotestować sporządzenia filmów, nie podając prawdziwego powodu swego protestu, a tego nie mogli zrobić.

— Nie ma absolutnie problemu, żeby sobie zatrzymał te zdjęcia, Harb — oznajmił cicho Jonny.

Floring odwrócił się, uprzejmie się żegnając.

— Wkrótce znów się zobaczymy — obiecał.

ROZDZIAŁ VII
Ostatnia granica

Do czasu gdy ato-samochód Floringa nie zniknął w oddali z cichym pomrukiem silnika, mała grupka ludzi stała w słońcu przed warsztatem,

zachowując przejmujące milczenie. Carlin ujął w słowa to, co wszyscy mieli w głowie.

— Jonny, wiesz przecież, dlaczego on zrobił te zdjęcia! Wyśle je przez telefoto do kwatery głównej na Canopusie, aby zbadali je eksperci od inżynierii, a oni odeślą informację, że ta maszyna to czerpak magnetyczny do górnictwa słonecznego!

Jonny skinął głową.

— Tak, oczywiście. Floring przez cały czas podejrzewał co planujemy, a teraz zamierza się co do tego upewnić.

— A kiedy wiadomości powrócą z Canopusa, zarekwiruje nam pogłębiarkę i statek, aby powstrzymać naszą wyprawę! — jęknął Harb.

— Wiem o tym — odparł Jonny Land, zaś jego niebieskie oczy omiotły ich spojrzeniem. — Ale zanim otrzyma ten raport, minie jakieś czternaście lub piętnaście godzin. A więc, do tego czasu, musimy być w drodze na Słońce!

Laird Carlin poczuł wstrząs i zdumienie, ale zanim zdążył skomentować słowa Jonny'ego, ten zaczął szybko mówić dalej.

— Teraz to nasza jedyna szansa – uciec, zanim Floring otrzyma dowody, które dadzą mu upoważnienie do zatrzymania nas! Nasz czerpak jest już prawie gotowy. Jeśli uda nam się załadować go na „Feniksa" i wystartować dziś wieczorem, będziemy mieli szansę by udowodnić galaktyce, że wydobycie surowców ze Słońca może być bezpieczne.

— Zainstalować czerpak dziś wieczorem? — zawołał Harb Land. Na twarzy tyczkowatego olbrzyma pojawił się niepokój. — Jonny, nie damy rady tego zrobić! Nie tak szybko.

— Musimy! — Głos Jonny'ego ciął jak stalowym rapierem. — Harb, idź po Loessera, Vito i innych chłopców. Niech wezmą ze sobą dużą ciężarówkę. Jeśli będziemy pracować wystarczająco ciężko, powinniśmy dać radę przygotować czerpak do przewozu, przed zmrokiem. Kiedy załadujemy go na „Feniksa", będziemy mogli wystartować i dokończyć instalację reszty urządzeń w kosmosie.

— Nie damy rady tego zrobić — jęknął jego brat. — Wiesz przecież, że planowałeś na tę instalację jeszcze cały tydzień czasu.

Carlin wystąpił do przodu. Podjął decyzję już jakiś czas temu. Zdecydował się dokładnie w tej samej chwili, kiedy udzielił odpowiedzi Floringowi.

— Jestem inżynierem kosmicznym, jak wiecie — przypomniał. — Mogę bardzo pomóc przy tej instalacji.

Marn wpatrywała się w niego, zdumienie i świtająca radość rozpalały się w jej oczach. A udręczona twarz Harba Landa zwróciła się z rozpaczą ku Carlinowi.

— Zrobiłbyś to? Pomógłbyś nam? Na Boga, gdybyś to zrobił, może by nam się udało!

Niebieskie jasne oczy Jonny'ego wbiły się w twarz Carlina.

— Carlin, miałem na to nadzieję. Od początku wiedziałem, że będę potrzebował pomocy innego inżyniera przy instalacji i obsłudze czerpaka. Sprowadziłem cię do domu, bo miałem nadzieję, że uda mi się pozyskać twoją pomoc, zanim wyruszymy w tę ekspedycję. Ale mimo to, muszę cię

ostrzec. Złamaliśmy rozkazy Rady Kontroli. Możesz stracić swój certyfikat i trafić do więzienia na Rigelu, nawet jeśli nasz plan się powiedzie. A jeśli się nie uda, może to oznaczać, że zginiesz razem z nami. A w końcu Ziemia nie jest twoją planetą.

— A kto u diabła powiedział, że ja robię cokolwiek dla Ziemi? — ripostował Carlin. — Ta wasza stara planeta nic dla mnie nie znaczy ani w sensie pozytywnym, ani negatywnym.

— Laird, jesteś tego tak bardzo pewien? — spytała go Marn, oczy miała bardzo jasne.

— Czy musimy podchodzić do tego aż tak emocjonalnie? — szorstko rzucił Carlin. — Jestem inżynierem, a to jest największy eksperyment inżynieryjny, jaki próbowano przeprowadzić od wielu wieków. Nie sądzisz, że po prostu chcę w nim uczestniczyć? — Dodał miażdżąco: — A jeśli chodzi o moje wplątanie się w tę sprawę, to już jestem w nią cholernie nieźle wplątany. Kiedy okłamałem Floringa, że to nie jest czerpak magnetyczny, związałem swoje losy z waszym przedsięwzięciem. Teraz jestem zmuszony sprawić, żeby ono się udało.

Harb Land biegł już w kierunku swojej ciężarówki. Jonny rzucił w stronę siostry ostre polecenia.

— Marn, chcę, żebyście przez całe popołudnie obserwowali z Grampem drogę. Floring może wrócić. Carlin, ty i ja nie mamy ani chwili do stracenia.

Carlin udał się za chromym młodzieńcem do warsztatu, a Jonny tam szybko wyjaśnił mu, co pozostało jeszcze do zrobienia.

— Musimy podłączyć rury doprowadzające gazy powrotne do głowicy wiązki; wężownice chłodzące zestalającą się miedź nie zostały jeszcze zamontowane na miejscu, a cały czerpak trzeba zamocować w ramie, aby dziś wieczorem był gotowy do załadowania na platformę ciężarówki.

Carlin był trochę przerażony ilością pracy, jaka pozostała jeszcze do wykonania, jak na dwie pary rąk. Jonny dorzucił jednak zachęcającą uwagę.

— Loesser, Harb oraz pozostali mogą pomóc w ato-spawaniu i pracy przy kablach, jeśli im to przygotujemy. Wszyscy są weteranami z dużym doświadczeniem w pracy w kosmosie i wiedzą, jak posługiwać się zwykłymi narzędziami.

Carlin pogrążył się w pracy razem z Jonnym. Jednak w miarę jak pracowali nad ustawieniem wężownic i rur zasilających masywnego mechanizmu, umysł Carlina zaczął ogarniać bunt odnośnie tego, co robił.

Dlaczego to robił, łamiąc prawa Kontroli i narażając na szwank swój certyfikat, a nawet wolność? Dlaczego na Boga, miałby dzielić ryzyko tych ludzi, poświęcać się dla planety, której jeszcze kilka tygodni temu nigdy nawet nie widział na oczy?

„Muszę mieć ciągle chorobę gwiezdną, być niestabilny emocjonalnie” — pomyślał posępnie. — „W przeciwnym razie nigdy nie wmieszałbym się w tę szaloną sprawę. Górnictwo słoneczne!”

Ślepa reakcja zdominowała jego myśli. Do diabła, nie był człowiekiem, który przyłącza się do takich donkiszotowskich przegranych spraw. Był Lairdem Carlinem, twardo stąpającym po ziemi, ciężko pracującym inżynierem, który właśnie teraz powinien być gdzieś daleko, po drugiej stronie galaktyki, zajmując się pracą, która do niego należała.

A przez cały czas, gdy umysł Carlina szamotał się żałośnie w tym wirze wyrzutów sumienia i obaw, on sam pracował z Jonnym na najwyższych obrotach, wciskając się w ramę wielkiego czerpaka wszędzie tam, gdzie chromy młodzieniec nie był w stanie się dostać, mocując zaciski Veera, podłączając samouszczelniające się przewody do płaskich filtrów Markheima.

Dźwięk ato-ciężarówek przeszył popołudniowe powietrze, a Harb Land wbiegł zdyszany do warsztatu.

— Sprowadziłem pozostałych – Loesser podjedzie zaraz dużą ciężarówką — wysapał Harb. — Co chcesz, żebyśmy robili, Jonny?

Loesser, i Vito, i pozostali czterej młodzi Ziemianie, którzy weszli pośpiesznie za Harbem, byli ogarnięci podnieceniem. Szeroka czerwona twarz Loessera błyszczała z emocji, gdy podszedł do Carlina.

— Chciałbym przeprosić. Nigdy nie sądziłem, że jakiś obcy z gwiezdnego świata wejdzie w to razem z nami i nam pomoże.

— Daruj już sobie i zabierz się ze spawarką do tych tylnych rur zasilających — ripostował Carlin. — Chodź tutaj, pokażę ci.

W czasie gorących godzin popołudniowych, syk ato-spawarek i odór topiącego się metalu wypełnił cały warsztat.

Ociekający potem, zesztywniały od niewygodnych pozycji, Carlin pracował ciągle wewnątrz wielkiego czerpaka.

I przez te wszystkie godziny, w rytm syku spawarek i brzęku kluczy, myśli goniły mu w szyderczym tempie przez głowę.

„I wszystko to, bez żadnego powodu! Dla obcej planety, świata, który już dawno powinien zostać ewakuowany! Nawet jeśli się uda, nic nie wygrasz. A jeśli się nie uda, Słońce rozmaśli was wszystkich jak muszki.”

Mimo to pracował ze ślepym zacięciem. Może to i było szaleństwo, ale skoro to zaczął, musi skończyć.

To była walka z nieubłaganym limitem czasowym, który szybko się wyczerpywał. Kiedy cienie zaczęły się wydłużać, w miarę zachodzącego słońca, oni wciąż jeszcze nie skończyli.

Jonny Land pokuśtykał chwiejnym krokiem by włączyć lampy warsztatowe. Jego twarz zmieniła się w szarą maskę zmęczenia i potu, gdy zwrócił się do pozostałych.

— Dajemy sobie jeszcze dwie godziny — oznajmił szorstko. — Nie możemy pracować dłużej, jeśli mamy zawieźć czerpak na „Feniksa” i wystartować przed północą.

Te dwie godziny, później, wydawały się Carlinowi całymi tygodniami. A szyderczy diabełek w jego mózgu wciąż drwił: „To nie jest twoja sprawa, dobrze o tym wiesz!”

— **J**esteśmy już blisko! — oświadczył wreszcie zachrypnięty głos Jonny'ego. — Te ostatnie kable możemy podłączyć po drodze. Wszystkie prace wymagające ciężkich narzędzi zostały wykonane – i nie śmiemy zabierać więcej czasu.

Wszyscy byli pijani zmęczeniem, zataczali się po wściekłym pędzie dwunastu godzin nieprzerwanej ciężkiej pracy. Osmaleni płomieniami spawarek, lśniący od potu, wyglądali w oczach Carlina jak ekipa diabłów.

Energia napędowa Jonny'ego pozostawała niewyczerpana.

— Marn — polecił, — cofnij tutaj dużą ciężarówkę. Harb, ty i Carlin naszykujcie podnośnik.

Duża ato-ciężarówka o płaskiej platformie, z łomotem podjechała tyłem do warsztatu i ostrożnie wciągnęli na nią masywny czerpak magnetyczny. Loesser i inni pospiesznie przytwierdzili go do platformy ciężarówki.

Jonny pokuśtykał w stronę kabiny.

— W porządku, zaczynamy. Harb, ty prowadzisz. Nie, Marn – nie jedziesz z nami do portu kosmicznego.

Marn, z bladą twarzą i wielkimi od strachu oczyma, dostrzegła błysk pistoletu atomowego, który wcisnął sobie do kieszeni Harb.

— **O**ch, Jonny, tylko nie to, bez względu na to, co się stanie!

Niebieskie oczy Jonny'ego połyskiwały arktycznym lodem.

— Teraz musimy użyć tego i wszystkiego innego, co się da — wychrypiał. — Wiesz, co to znaczy dla naszych rodaków, Marn.

Potem twarz mu złagodniała i poklepał ją po ramieniu.

Łzy pożłobiły smugami jej policzki, gdy całowała i tuliła się do niego, a potem do Harba.

Carlin wchodził z trudem na ciężarówkę, kiedy poczuł jej dotyk na ramieniu.

— Ty też, Laird — wyszeptała, ślepo przyciskając drżące wargi do jego policzka. — Wszyscy musicie wrócić.

— Wsiadać! — zawołał Harb Land, a potem ciężarówka ruszyła w drogę.

Carlin wskoczył do kabiny i pod okryciem rozgwieżdżonej nocy, z coraz większą prędkością zjeżdżali krętą drogą w stronę doliny.

I nagle wszystkie drwiące koszmary w głowie Carlina ucichły i pozostał tylko pęd słodkiego powietrza na twarzy, snopy reflektorów przed nim, oraz wstrząsy oraz dudnienie wielkiej maszyny, pędzącej w dół w kierunku odległych latarni portu kosmicznego.

Ziemskie powietrze i ziemskie zapachy w nozdrzach Carlina, senne ziemskie odgłosy w jego uszach; blask starych latarni portu kosmicznego i strzelista sylwetka odległej iglicy, która oznaczała miejsce, skąd dawno temu człowiek po raz pierwszy odważył się wyruszyć w kosmos. Ta

planeta, ta mała Ziemia, warta była by zaryzykować dla niej głowę, nawet dla przybysza z dalekich gwiazd!

Wiedział, że jest w tym odrobina szaleństwa, nieustannie jakiś zakamarek umysłu powtarzał mu, że to wszystko to zwykłe upojenie emocjami, które odbierają mu rozum. Ale szyderczy diabeł w umyśle Carlina ucichł, a on sam był teraz zjednoczony umysłem i celem ze swymi towarzyszami.

Inni też czuli tę szaleńczą satysfakcję, bo Loesser klepnął Carlina w ramię, wołając:

— To jak wydostać się z więzienia, by zacząć coś robić!

— Nie jesteśmy jeszcze poza Ziemią! — ostrzegł Jonny. — Harb wyłącz światła i objedź północny kraniec portu kosmicznego. Podjedź ciężarówką do „Feniksa" tak cicho, jak tylko potrafisz. — Chwilę później ostrzegł: — Wolniej, wolniej. Trzymaj się krawędzi lądowiska.

Bez świateł, z silnikami tylko cichutko pomrukującymi, wielka ciężarówka pełzła po ciemnej krawędzi portu kosmicznego w stronę „Feniksa". Mały statek międzyplanetarny nabrał w mroku ciemnych kształtów. Niski pojazd w formie torpedy, stał zadumany pod gwiazdami. Harb cofnął ciężarówkę w stronę jego burty, gdzie wyskoczyli z kabiny.

Z ręcznego reflektora we włazie „Feniksa" błysnęło na nich światło! Stała tam szczupła postać w mundurze, z bronią w ręku, patrząc na nich.

— Tak sobie myślałem, że przyjdziesz — powiedział cicho Ross Floring. — Jonny, przykro mi z tego powodu.

Katastrofalne załamanie się ich próby zachowania tajemnicy sparaliżowało Carlina równie silnie, jak jego towarzyszy. Floring wyszedł ze statku.

— Przejrzałem sobie wasz statek, kiedy tutaj czekałem — stwierdził. — Macie trzykrotnie silniejszy pancerz ekranów termicznych, niż potrzebowalibyście na gorącej stronie Merkurego. Mieliście zamiar lecieć do Słońca.

— Nie możesz tego udowodnić, Ross — odparł spokojnym tonem Jonny. — Nie masz żadnych dowodów.

— Mam ich wystarczająco dużo, aby zakazać temu statkowi opuszczania Ziemi do czasu ukończenia śledztwa — odparł Floring. — Do rana dotrze do mnie z Canopusa pewien raport. Wtedy się przekonamy.

W tym momencie Carlin zauważył, co się dzieje. Zobaczył ciemną gigantyczną sylwetkę Harba Landa skradającego się dookoła ciężarówki i wyłaniającego się z mroku za Floringiem. Dostrzegł błysk uniesionego pistoletu atomowego Harba.

Potem Harb uderzył. Kolba broni spadła na głowę Floringa i oficer zwalił się na asfalt lądowiska.

— Sprawdź, czy ktoś jeszcze jest na statku! — szybko polecił Jonny. — Loesser, obserwuj stację Kontroli!

Następnie wraz z Carlinem pochylił się nad nieprzytomnym człowiekiem.

— Będziemy musieli zabrać go ze sobą — oznajmił Jonny. — Gdybyśmy go tu zostawili, szybko by go znaleźli, a wtedy krążowniki Kontroli siadłyby nam na ogon.

Kilka tygodni wcześniej Laird Carlin poczułby ogromne oburzenie widząc leżącego na ziemi na wpół świętego oficera Operacji Kontroli. Jakimże to duchem lekkomyślnego lekceważenia prawa zarazili go jego nowi towarzysze? Zdumiewał się nad swoim postępowaniem, gdy chłodno podniósł bezwładne ciało.

— Przywiąż go do jednego z foteli w kabinie pilotów — powiedział Jonny.

Harb wyszedł ze statku.

— Na pokładzie nie ma nikogo. Przyszedł tu sam.

Do czasu zanim Carlin zdążył przywiązać pozbawionego przytomności człowieka w kabinie pilotów, Harb i pozostali rozsunęli wrota wielkiego włazu w burcie „Feniksa". Pośpiesznie, potykając się w ciemności, wyjechali podnośnikiem okrętowym i zawiesili na jego haku potężny czerpak magnetyczny.

Potem, z ogromnym trudem, wciągnęli masywny mechanizm do ładowni na śródokręciu. Wystarczyło kilka krótkich błysków ręcznych latarek, aby wprowadzić głowicę czerpaka, w okrągły otwór w stępce.

— Przymocujcie tylko połowę śrub na ramie – wytrzymają do czasu, aż wyjdziemy w przestrzeń kosmiczną — wysapał Jonny.

Carlin w ciemności obdzierał sobie ze skóry knykcie, zmagając się ze śrubami i kluczem. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć alarm od Loessera, że nadchodzą funkcjonariusze Kontroli.

— Tyle będzie musiało wytrzymać — oznajmił spocony Jonny. — Zjedźcie ciężarówką z lądowiska. Harb, przygotuj się do startu!

ROZDZIAŁ VIII
Zmagania ze Słońcem

Natleniacze zaczęły pulsować, drzwi szczękały, gdy reszta grupy wpadła na pokład. Harb Land, wymazany brudem i olejem, z dziko zmierzwioną grzywą włosów, usiadł w fotelu pilota i fachowo położył dłonie na sterach.

— Generatory włączone! — wyskandował zdyszany głos Loessera z interfonu, w miarę jak zaczął wzmagać się niski, głęboki szum.

— Staza włączona — powiedział szybko Harb, jego palce biegały po przełącznikach. Otoczyła ich ze wszystkich stron niebieska poduszka pola siłowego i Carlin osunął się jak pijany na fotel. — Harmonogram przyspieszenia zero, dwa i pięć. Zaczynamy!

I „Feniks" wystrzelił pełnym pędem z portu kosmicznego, w górę. Fale napędowe wypływające z płyt silnikowych statku wyrzuciły go i wyniosły w usiane gwiazdami niebo, lampy portu kosmicznego oraz migające na południu światła Nowego Jorku, zostały szybko w dole.

— Pozwolenie! — wykrzyknął zaskoczony głos z uniwersalnego komunikatora na panelu. — Nie macie pozwolenia na start!

— Pozwolenie zostało udzielone już wcześniej — wyskandował Harb Land, po czym wyłączył komunikator. Roześmiał się. — To da im chwilowo trochę do myślenia.

Sposób, w jaki Harb wyprowadzał ich z Ziemi wydał się Carlinowi szalony, lekkomyślny i samobójczy. Atmosfera planety ledwie podniosła wokół nich wrzaskliwy, wznoszący się wizg, a już po chwili opadł on i zamarł, gdy wyszli z otoczki powietrznej.

Na wschodnim niebie, jak wielka kula matowego złota na tle gwiazd, pojawiła się Luna. A po chwili oczy Carlina przeszył blask i lśnienie jaskrawego dysku Sol, Słońca.

Wtedy „Feniks” wziął kurs od planety i wyruszył w drogę przez kosmiczną próżnię, pędząc w kierunku tego odległego blasku Słońca z prędkością, która jak wiedział Carlin, byłaby zabroniona w każdym Układzie.

— Zwolnij, zwolnij! — zawołał Jonny do brata. — Jeszcze parę chwil lotu z tą prędkością, a nie zdążysz wyhamować na czas, by wejść na orbitę wokół Słońca.

Harb Land odwrócił w jego stronę swą dziką, brudną twarz, rozpaloną emocjami.

— Na niebiosa, w końcu jesteśmy w drodze! Pokażemy im teraz, że Ziemianie wciąż potrafią wypuszczać się na kosmiczne szlaki, na jakie nikt inny by się nie odważył!

A z tyłu statku dobiegł ochrypły głos radośnie śpiewający starą ziemską pieśń kosmiczną:

Startujemy ku gwiazdom…

Głos Jonny'ego Landa poraził ich, jego chuda twarz była pełna determinacji.

— Wszystkim wam dymi z czubów, z podniecenia. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy naszej wyprawy. Popatrzcie, ku czemu zmierzamy!

Carlin usłyszał, jak pozostali milkną, a sam poczuł dreszcz grozy, gdy popatrzył do przodu na gigantyczne ogniste ciało niebieskie, w kierunku którego zmierzał „Feniks”.

— Wejdziemy na orbitę, zanim zdążymy przygotować czerpak, chyba że pospieszymy się z robotą — popędzał Jonny. — Chodźcie, pomóżcie mi przy tym.

Wielki czerpak magnetyczny musiał zostać przynitowany na swoim miejscu, wężownice i rury trzeba było popodpinać do odpowiednich gniazd wewnątrz statku, kable do generatorów, wężownice chłodzące do kompresora, wyloty filtrów Markheima do komór na rufie.

Hucząc, skrzypiąc i drżąc na każdym kroku, od potężnego parcia energii, która go napędzała, „Feniks” kołysał się i trząsł wokół nich, gdy Carlin z Jonnym i dwoma innymi ludźmi pracował nad wykonaniem tych ostatnich podłączeń. Ciasna przestrzeń w ładowni wokół czerpaka stała się gorąca i duszna, ponieważ natleniacze nie były w stanie utrzymać powietrza w czystości.

— Wszystko gotowe! — zawołał w końcu Jonny, po godzinach trudu zdających się trwać wiecznie. — I ani odrobinę za wcześnie. Szybko dolatujemy na miejsce. Harb postawił na zewnątrz większość ekranów cieplnych.

Za oknami, statek zdawał się być otoczony aureolą przyćmionego światła, ekranów siłowych, które odpychały promieniowanie cieplne.

Ale kiedy Carlin podszedł z Jonnym do kabiny pilotów, nawet przez ekrany zostali na wpół oślepieni przez gwałtowny, rozpalony blask zalewający ich od przodu.

Połowa nieba przed nimi wypełniona była przez Słońce, gigantyczną czeluść rozszalałego ognia, która przygniatała umysł swoją wielkością. Wszystkie kierunki w kosmosie wydawały się że zniknęły, a oni spadali, spadali, prosto w ogniste piekło.

Harb odwrócił w ich kierunku spoconą twarz.

— Przebijemy się na orbitę za niecałą godzinę — poinformował.

Ross Floring odezwał się z fotela, w którym siedział związany po powrocie do przytomności.

— Jonny, czekałem na ciebie! Harb nie chciał mnie słuchać. Musisz zawrócić!

Jonny pokręcił przecząco głową.

— To nie ma sensu, Ross, wiem, że wykonujesz tylko swoje obowiązki. I przykro mi, że wciągam cię w to niebezpieczeństwo. Jednak teraz już się nie zatrzymamy.

— Ale nigdy nie uda się wam tam dotrzeć! — wykrzyknął Floring. — Krążowniki Kontroli musiały już wyruszyć za wami. Do tej pory wiedzą już, gdzie jestem.

— Puste groźby! — zaszydził Harb. — Nie mogą wiedzieć, gdzie on jest.

— Jonny, popatrz na moją odznakę! — zawołał Floring. — Widzisz tę maleńką lampkę radiową z tyłu? To „lokalizator", dzięki któremu każdy funkcjonariusz Kontroli może zostać zlokalizowany z dowolnej odległości. Kiedy nie złożyłem raportu, użyli go, aby mnie tu odnaleźć.

— Jeśli to prawda — powiedział Jonny Land, jego szczupła twarz nagle spoważniała, — już teraz nas muszą ścigać. Harb, włącz z powrotem komunikator!

Harb wykonał polecenie. Ryk zakłóceń z gigantycznego ciała niebieskiego przed nami, tworzył matowe tło dla ostrego głosu, który dobiegał z urządzenia.

— Eskadra Operacji Kontroli czterysta trzydzieści trzy dziewięć wzywa „Feniksa"! To ostatnie ostrzeżenie! Wyprzedzimy was i ostrzelamy, chyba że zawrócicie i poddacie się.

Zaskoczony, Harb Land uderzył palcem w przycisk i przekręcił gałkę ekranu wizora. Daleko-widzące oko omiotło przestrzeń za nimi, a następnie czarna sceneria kosmosu zatrzymała się w jednym miejscu. Na

tle gwiazd pojawił się niewielki wzór czterech maleńkich trójkącików światła. Trójkąty – znany w całej galaktyce znak Kontroli.

— Na niebiosa, oni rzeczywiście lecą za nami! — zawołał Harb. — Jonny, są już tylko parę minut od nas i szybko się zbliżają!

— Ostrzelamy was pełną salwą, jak tylko znajdziecie się w naszym zasięgu, chyba że natychmiast zawrócicie — ostrzegł ich twardy jak stal głos z komunikatora.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej, Laird Carlin nie myślałby bardziej o nieposłuszeństwie wobec rozkazu Operacji Kontroli, niż o zdobyciu gwiazdki z nieba. Obywatele Galaktyki byli uczeni szacunku dla wielkiej organizacji, która uczyniła Wszechświat miejscem prawa i porządku.

Ale antyczna niezależność tych ludzi z Ziemi wezbrała w nim teraz silnie. Zaryzykowali już tak wiele, ponieśliby pewną karę, nawet gdyby w tej chwili się poddali.

— Leć dalej! — krzyknął Carlin. — Nie mogą nas ścigać, gdy zaczniemy orbitować blisko fotosfery Słońca. Żaden zwykły krążownik Kontroli nie ma wystarczająco silnych ekranów cieplnych, by podążać za nami w takich warunkach!

— Na Jowisza, to prawda! — wykrzyknął Harb, nikła nadzieja rozświetliła mu twarz. — Ale nie śmiem teraz rozpędzić się do większej prędkości. Muszę zacząć zwalniać, jeśli mamy wejść na poprawną orbitę.

— Hamuj zgodnie z planem — powiedział ponuro Jonny. — Może nas nie dogonią na czas. Wkrótce się przekonamy.

„Feniks”, lecący po stycznej w kierunku gigantycznej kuli Słońca, miał na celu wejście na orbitę wokół Sol jak najbliżej jego fotosfery lub gazowej powierzchni.

Tak to musiało się odbyć. Żaden statek nie miałby wystarczającej mocy, by podejść tak blisko kolosalnej masy przyciągającej Słońca i utrzymać swoją pozycję dzięki własnej energii. Aby znaleźć się tak blisko Słońca i pozostać tak blisko niego, nie dając się przez nie wciągnąć, statek musiał wejść na orbitę wokół niego, jak maleńki satelita.

Powietrze na „Feniksie” zrobiło się już dusząco gorące. Jonny włączył kolejny z ekranów cieplnych, a niewyraźna aureola wokół lecącego statku wzmocniła się.

Palce Harba biegały po kontrolkach, hamując i kierując statek po zbiegającej się spirali w stronę Słońca.

— Carlin, przekonaj ich do rezygnacji z tego szaleństwa! — zawołał Ross Floring, przerażony. — Krążowniki za chwilę władują nam salwę.

Carlin nie zwracał na niego uwagi. Jego oczy wpatrzone były w ekran wizora, na którym cztery krążowniki robiły się coraz większe, w miarę jak się zbliżały.

Wreszcie to się wydarzyło. Ciche, śmiertelne, cztery oślepiające ogniki wybuchły w pobliżu „Feniksa”. Salwa czterech pocisków atomowych, których fala energii wstrząsnęła nurkującym z Słońce statkiem. Loesser wpadł do pomieszczenia pilotów, z czerwoną, błyszczącą twarzą.

— Obramują nas następną salwą lub dwiema! — krzyknął. — Jakie mamy szanse?

— Włączcie ekrany cieplne szósty i siódmy! — ryknął Harb Land, nie rozglądając się. — Wchodzę na orbitę już teraz!

— To zbyt wcześnie! — zawołał ostrzegawczo Jonny. — To…

Carlin widział, że Harb nawet nie słyszał jego słów. Olbrzym lekkomyślnie przeciął elementy ich wcześniej wyznaczonego kursu, polegając na własnych umiejętnościach, by wciągnąć ich na czas na orbitę.

Ekrany cieplne, wszystkie jakie mieli, były obecnie włączone na pełną moc. Kolejna salwa wybuchła przed nimi w przestrzeni kosmicznej. Carlin wiedział, że goniący ich ludzie zdawali sobie sprawę, iż Floring jest na pokładzie. Ale Operacje Kontroli poświęciłyby każdego człowieka, aby zapobiec próbom eksploracji Słońca, które zawsze wcześniej oznaczały katastrofalne zakłócenia słoneczne.

— Niech to wielkie płonące gwiazdy! — odetchnął Loesser, wpatrując się w ekran wizora. — Spójrzcie tylko na to!

Zapomnieli o śmiertelnych pociskach, które ich szukały. Ponieważ w tej chwili „Feniks” znalazł się głęboko w przerażającej koronie gwiazdy i schodził po krzywej bliżej, przez żar, który miał ponad dwa tysiące stopni.

Umysł Carlina zadrżał na widok przerażającego spektaklu, w jaki zmienił się firmament. Ani on, ani żaden inny żyjący człowiek nigdy nie zbliżył się tak blisko do gwiazdy. Wchodzili w rejon tak gwałtownych energii, że wszelkie prawa przestrzeni i czasu wydawały się tu nie istnieć.

Oślepiający, oszałamiający nawet przez silny filtr ochronny ekranów cieplnych, blask Sol oszołomił ich. Patrzyli na ogromny, rozszalały ocean płonących gazów, morze oparów metalicznych i niemetalicznych pierwiastków, które wyglądało jak kosmiczny piec.

Nawet przez ekrany cieplne, promieniowanie ogrzewało powietrze na statku tak że paliło ono jak ogień. Ale ekran wizora pokazywał teraz, że krążowniki Kontroli wycofują się i znikają z pola widzenia za nimi.

— Nie mogli polecieć za nami tak blisko fotosfery! — zawołał uradowany Harb. — Daliśmy im do wiwatu i jesteśmy prawie na orbicie.

— Nie dacie rady wejść na orbitę wokół Słońca! — błagał Floring. — A nawet gdyby wam się to udało, krążowniki rozmieszczą się na poza strefą gorąca, namierzą was przez lokalizator i zaczną strzelać, aż nas zniszczą! Zmieńcie kurs!

Człowiek o imieniu Vito, krztusząc się i z trudem łapiąc oddech, wszedł do kabiny pilotów z maszynowni na rufie.

— Ekrany cieplne nie wytrzymają już ani dyny więcej! Jeśli podejdziemy bliżej, jesteśmy skończeni.

— Jesteśmy już prawie na orbicie — powiedział Jonny chrapliwie. — Czekajcie!

Harb Land zajmował się właśnie najtrudniejszą operacją pilotażu kosmicznego, wprowadzeniem statku na dokładnie wyważoną orbitę wokół ciała niebieskiego.

Najtrudniejszą, nawet gdy ciałem tym była planeta. Niemożliwą prawie do wykonania, gdy ciałem tym była tytaniczna gwiazda!

Carlin widział twarz olbrzyma zastygłą w nieruchomą maskę, gdy wypośrodkowywał wskazówki swoich przyrządów, dodawał energii z nieskończoną delikatnością, sterował, zmieniał – i znowu zmieniał.

Harb wyciągnął rękę i z głośnym trzaskiem wyłączył silniki. Szum fal napędowych ucichł. „Feniks" leciał pozbawiony mocy silników. A wskazówki grawimetrów pozostawały w stałej pozycji, tor lotu statku wokół Słońca był stabilny.

— Jesteśmy na orbicie! — Głos Harb Landa brzmiał chrapliwie, jak kompletnie wyczerpanego człowieka.

Carlin miał ochotę wykrzyknąć: „Na niebiosa, w galaktyce nie ma lepszych pilotów kosmicznych od Ziemian – nikogo!"

„Feniks" krążył wokół Słońca, głęboko w koronie oraz blisko fotosfery, czy też powierzchni emitującej światło, która stanowiła mniej więcej granicę samej gwiazdy.

Mieli uczucie, że są ludźmi zawieszonymi nad Wszechświatem rozszalałych płomieni i pól siłowych. Umysł drżał pod wpływem tego wrażenia. Byli tutaj, w miejscu w którym żaden człowiek, żadna żywa istota, nigdy nie powinna się znaleźć. Naruszali świętość gwiazdy.

— Teraz – czerpak — powiedział chrapliwie Jonny. — Nie mamy dostatecznych ilości energii, aby przez dłuższy czas tak przeciążać ekrany cieplne. Chodźmy, Carlin.

Carlin poszedł z nim z powrotem do dusznej ładowni. Ludzie stojący wokół ogromnego czerpaka magnetycznego wyglądali jak umorusane czarną sadzą diabły, spoglądające dzikim wzrokiem.

Kiedy zamykał połącznie obwodu generatorów z ato-turbinami, metal był tak gorący, że jego dotknięcie wywoływało okrzyk bólu. Rotory rozpoczęły swój jęczący śpiew, wytwarzając pole magnetyczne.

Cały statek nagle zatrząsł się i zadrżał. Harb wpadł pośpiesznie do ładowni.

— Te krążowniki Kontroli zaczynają nas ostrzeliwać z wykorzystaniem radiolokatora!

— Potrzeba nam jeszcze tylko trochę czasu — wysapał Jonny Land. — Wężownice chłodzące, Carlin!

Carlin czuł się jak pogrążony we śnie, gdy trudził się z Jonnym, by uruchomić czerpak magnetyczny. Pole nieustannie się wzmacniało, a wielkie dysze głowicy wiązki zostały opuszczone poniżej stępki. Bystre oczy Jonny'ego utkwione były w panel wskaźników, aż w końcu przerzucił przełącznik pola.

— Teraz!

Stłoczyli się ciasno wokół płyty widokowej w stępce, patrząc w dół na wpół oślepłym wzrokiem, aby dostrzec co się dzieje na tle blasku szalejącego w dole słonecznego morza. Czerpak wyemitował w dół potężne, skoncentrowane pole magnetyczne, wbijając je w ten ocean płonącego gazu, jak słomkę do picia. Jednak przez kilka pierwszych chwil niczego nie mogli zauważyć. Czas, który upływał, zdawał się nie mieć końca. I wtedy…

— Zbliża się — wrzasnął Loesser.

Z ognistego oceanu pod nimi, strzelała w górę kolumna płonących par. W porównaniu z gigantyczną masą Sol, było to cieniutkie włókienko, wątlutka niteczka ognia.

Ale pędziła ona coraz wyżej w górę, w kierunku orbitującego „Feniksa”, palec ognistych par pierwiastków, przyciągany nieodparcie wzdłuż wiązki pola magnetycznego, do statku.

Kolejna salwa pocisków wybuchła gdzieś w pobliżu w kosmosie i wstrząsnęła statkiem swoją falą uderzeniową. Ale zaraz potem nastąpiło silniejsze uderzenie, gdy ognisty słup gazów dotarł do umieszczonych pod statkiem dysz.

Usłyszeli ogłuszający ryk. Zasysany do góry strumień par pierwiastków przeciągany był przez żaroodporne dysze i wloty, i dalej przez filtry Markheima, które odsiewały atomy miedzi, a następnie ponownie wystrzeliwany był na dół przez ujemne pole wyrzutu zwrotnego.

— Wyrzut zwrotny działa! — krzyknął Jonny Land. — Jeśli jego działanie jest takie, jak to obliczyliśmy, to udało nam się!

ROZDZIAŁ IX
Ziemianin wraca do domu

Na razie żaden z nich nie zwracał uwagi na fakt, że cenna miedź krzepła w wężownicach chłodnicy, zmieniając się w granulki metalu, które wdmuchiwane były do magazynów. Prawdziwą próbą było to, co ich wiązka pola magnetycznego robiła z powierzchnią Słońca.

Wydawało się wręcz nieprawdopodobne, tak jak niemalże wyglądało to w oczach Carlina, by ta krucha niteczka pola siłowego mogła choćby w najmniejszym stopniu zakłócić funkcjonowanie tego potężnego ciała niebieskiego, płożonego pod nimi. A jednak, dobrze wiedział że tak. Znał nienaturalnie wręcz delikatną równowagę powierzchni gwiazdy, gdzie sztucznie wywołana niewielka zmiana ciśnienia była w stanie wytworzyć wir, który rozrósłby się w gigantyczną plamę słoneczną. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to chaos.

— Jak na razie nie ma nawet śladu wiru — odetchnął Jonny, zerkając w dół przez czarne, odporne na odblaski soczewki. — Kompletnie żadnych oznak.

Nie było jakiejś jednej chwili kryzysu, nie było żadnej jednej ewidentnej chwili tryumfu. Był tylko pędzący czas, przepływ miedzi do statku i ciągle powtarzane słowa Jonny'ego – „Jak na razie wir się nie tworzy”.

Salwy wstrząsały statkiem, gdy krążowniki Kontroli, rozmieszczone daleko poza piecem Słońca, strzelały coraz celniej. Jednak one przechodziły zupełnie bez echa. Sukces lub porażka najbardziej zuchwałego wyczynu inżynieryjnego w historii galaktyki, zależały od mrukliwych słów Jonny'ego.

— Jak na razie nie ma żadnego wiru.

Jonny Land w końcu uniósł głowę, popatrzył na nich, jak stali z wypisanymi na twarzach szaleńczymi pytaniami.

— Zrobiliśmy to — oświadczył, niemalże z niedowierzaniem. — Prawie wypełniliśmy magazyny miedzią, a na dole nie pojawił się żaden wir, nie ma żadnego zaburzenia, które mogłoby się rozwinąć w plamę słoneczną. Sprawiliśmy, że górnictwo słoneczne stało się możliwe.

Łzy spływały po twarzy Loessera. Harb Land wyglądał na kompletnie oszołomionego. Ale Jonny przeszedł przez ładownię do ściany, za którą wężownice chłodnicy zasilały magazyny. Zerknął przez kwarcową płytę widokową.

Oni popatrzyli razem z nim. Pomieszczenia magazynu były wypełnione błyszczącymi, czerwonymi granulkami. Miedź, dziewiczo czysta, wdmuchana pneumatycznie do tych komór i już prawie je wypełniająca. Miedź pozyskana ze Słońca!

— Miedź dla Ziemi! — wyszeptał Jonny, jego szczupła twarz obecnie niemalże jaśniała własnym światłem. — Energia i nowe życie, dla starej planety!

„Feniks" zakołysał się szaleńczo, a metal rozdzierająco zatrzeszczał, gdy zostali zwaleni z nóg przez salwę pocisków, która w końcu obramowała statek.

— Rury pobierające! — krzyknął Loesser, podrywając się na nogi obok Carlina.

Carlin widział co się dzieje. Burty statku wytrzymały, ale wstrząs spowodował pęknięcie naprężonych kabli i wężownic chłodzących. Dwie rury wlotowe rozpadały się, a przez ich pęknięcia wydostawały się gorące opary miedzi.

— Zaciski Veera na tych dwóch rurach! — krzyknął Jonny. — Jeśli one się rozlecą, pójdzie wszystko!

Wiedza o tym, co to znaczy, jeśli rury ulegną zniszczeniu, jeśli super gorące metaliczne pary wydostaną się do ładowni, pchnęła Carlina szalonym pędem po zaciski Veera i klucze.

Zacisnął klamrę wokół jednej z rur, a jakiś człowiek – Vito – zaczął zakręcać śruby, które mocno będą trzymały pęknięcie. Wykręcił się w kierunku drugiej rury.

— Zacisk! — wrzasnął Jonny Land, w okrzyku, który przypominał ochrypłe wycie męczarni.

Carlinowi krew odpłynęła z serca, gdy ujrzał najstraszniejszy i najbardziej heroiczny widok, jaki kiedykolwiek widział. Jonny Land objął rurę ramionami i ściskał ją z udręczonym wysiłkiem, podczas gdy gorące pary spryskiwały jego ciało.

Harb Land dziko oderwał brata, gdy Carlin zatrzasnął wokół rury wielki zacisk i konwulsyjnie zakręcił jego śruby.

Potem rozejrzał się dookoła. Harb pochylał się nad bratem.

— Jonny! Jonny!

Cała klatka piersiowa i szyja Jonny'ego były poczerniałe i spalone. Jego twarz zmieniła się w upiorną, zwęgloną maskę, gdy jego oczy spoglądały na nich w górę.

Kolejna salwa wybuchła niedaleko, i znów „Feniks” szaleńczo się zakołysał.

— Wyłącz czerpak! — zawołał Carlin. — Udowodniliśmy, że ten proces jest możliwy i nie możemy tu dłużej zostać, albo twój brat umrze!

Loesser wyłączył czerpak, a Harb Land popędził do kabiny pilotów. Carlin słyszał, jak krzyczy tam do komunikatora:

— Krążowniki Kontroli, tu „Feniks”! Oddalamy się od Słońca, żeby się poddać. Przygotujcie się do udzielenia pomocy medycznej rannemu.

— Zejdźcie z orbity natychmiast, a skontaktujemy się z wami przez lokalizator, w celu ustalenia warunków kapitulacji, gdy znajdziecie się poza koroną — nadeszła ostra, szybka odpowiedź.

Generatory „Feniksa” zaczęły ryczeć najostrzejszą możliwą nutą, gdy Harb Land gorączkowo przerzucał moc na płyty napędowe. Pod naporem drgań napędu poobijany statek zaczął się poruszać, starając się wywalczyć sobie drogę z gigantycznego uchwytu przyciągania Sol, wyrywając się powoli pod kątem ze swej orbity.

Carlin, Loesser i wszyscy obecni w ładowni, pochylali się nad Jonnym Landem, podczas gdy Floring, uwolniony przez Harba, dołączył do nich. Oficer spojrzał na leżącego, a potem pokręcił trzeźwo głową.

— Nie ma szans — oznajmił. — Nie wytrzyma nawet do chwili, gdy dotrzemy do krążowników.

Jonny leżał, nie słysząc go, walcząc o każdy oddech, patrząc na nich i nie widząc ich, jego zwęglona twarz zmieniła się w skręconą z bólu maskę. Carlin poczuł, że łzy kłują go w oczy, i wszystko co widzi zrobiło się rozmyte.

— Jonny, zrobiliśmy to – ty to zrobiłeś! — wykrztusił Loesser. — Sprawiliśmy, że górnictwo słoneczne stało się możliwe! Przecież, już niedługo pojawią się tu dziesiątki statków, nowych, dużych statków, które będą pozyskiwać tyle miedzi, ile tylko będzie potrzebne Ziemi!

Carlin wiedział, że Loesser próbował przebić się do gasnącego umysłu z tym zapewnieniem, zapewnić go, że umierający nie oddał życia na próżno.

Lecz do Jonny'ego Landa to nie dotarło. To już nie był Jonny Land, to była tylko żywa istota, umierająca w bólu, i nie mógł czuć ani pojmować niczego poza bólem. A po chwili ból odszedł, a wraz z nim życie, i jego twarz zmieniła się w obwisłą, pustą maskę, w której nie było już żadnego zrozumienia.

Loesser szlochał:

— On nie wiedział… nie wiedział, co mówię!

Carlin czuł się otępiały, zmęczony, wyzuty z emocji. Właśnie zobaczył jak umiera jedyny bohater, jakiego znał, ale śmierć bohatera to tylko śmierć, tylko śmiertelny ból i ostateczne wyzwolenie od niego.

Ruszył naprzód do kabiny pilotów.

— Jonny nie żyje — powiedział do Harba Landa.

Ramiona Harba obwisły, ale nie odwrócił się, prowadząc „Feniksa” w stronę obszaru kosmosu, gdzie czekały ponure krążowniki Kontroli.

Sąd Kontroli, tutaj w Nowym Jorku, był tylko niewielkim pomieszczeniem w budynku przy porcie kosmicznym. Było w nim niewielu urzędników – jedynie trzech sędziów w średnim wieku, którzy zasiadali za małym stołem i przygotowywali się do wydania wyroku na Lairda Carlina oraz jego siedmiu towarzyszy.

Nie było tu prawników, oratorskich popisów, ławników. Nie byli potrzebni. Rządowi psycholodzy, którzy spokojnie przesłuchali oskarżonych ludzi w czasie czterech dni spędzonych przez nich w więzieniu, przedstawili rzeczowe zapisy spod hipnozy, które stanowiły kompletne i niepodważalne dowody.

Główny sędzia, mężczyzna siedzący pośrodku, spokojnie odczytał decyzję, kiedy tylko Carlin i pozostali stanęli przed nim.

— Ten sąd, w zakresie oceny waszego przestępstwa, został postawiony w osobliwej, trudnej sytuacji. Z jednej strony, wy tutaj obecni świadomie złamaliście rozporządzenie Rady Kontroli i przeciwstawiliście się jej funkcjonariuszom. Z drugiej strony, wasze działania udowodniły praktyczną możliwość realizacji procesu górnictwa słonecznego, który przyniesie nieobliczalne korzyści temu i każdemu innemu układowi w galaktyce.

— Wybaczenie wam waszego przewinienia, z powodu iż ostateczny jego rezultat okazał się dobry, byłoby ustanowieniem fatalnego precedensu. Wytworzyłoby ono zasadę, że wykorzystanie nielegalnych środków nie ma znaczenia, jeśli końcowe cele są dobre. Nie możemy pozwolić na ustanowienie takiego precedensu. Dlatego też, z przykrością, ten sąd musi wydać za wasze przestępstwo przewidzianą w prawie karę.

Carlin nie mógł zaprzeczyć kryształowo czystej logice. Od początku wiedział, że tak się musi stać, i był zbyt zmęczony, by się tym przejmować.

— Zostajecie skazani na dwa lata pozbawienia wolności, w więzieniu na Rigelu, a także na utratę licencji pracowników kosmicznych lub certyfikatu inżyniera kosmicznego, w zależności od tego, który z tych dokumentów posiadacie. Taki wyrok jest w tego rodzaju przypadkach obligatoryjny. — Dodał szybko: — W naszej gestii leży jednak zawieszenie kary więzienia i ograniczenie unieważnienia waszych certyfikatów do okresu jednego roku począwszy od daty dzisiejszej. Taki jest wyrok tego sądu.

Loesser wyciągnął gwałtowny oddech ulgi.

— Przez chwilę myślałem, że ten Rigel dla nas, jest absolutnie pewny!

Główny sędzia wstał.

— Mówiąc osobiście — dodał cicho, — chcielibyśmy pogratulować wam panowie wielkiego osiągnięcia.

Ross Floring podszedł do nich.

— Rok zawieszenia, to niedługo — powiedział, a Carlin przytaknął niemrawo.

Kiedy, podążając za olbrzymią postacią prowadzącego ich Harba Landa, wyszli z budynku na światło dnia, od strony czekającego na

zewnątrz tłumu dobiegł ryk, który ich wręcz ogłuszył. Przynajmniej mieszkańcy Ziemi nie musieli hamować swojej wdzięczności.

Harb milczał ponuro, gdy przepychał się przez tłum w stronę Marn i starego Grampa Landa. Podążający za nim Carlin poklepywany był przez gorliwe ręce, atakowany przez radosne twarze i głosy.

Posiwiały, podekscytowany człowiek, plasnął go po ramieniu.

— My, Ziemianie, pokazaliśmy im, że wciąż potrafimy podbijać kosmos, co?

My, Ziemianie? Jakoś po raz pierwszy, podczas tych wszystkich dni, otępiały umysł Carlina poczuł drgnięcie dumy, jakby otrzymał właśnie jakieś wyróżnienie.

Z niechęcią myślał o spojrzeniu w bladą twarz Marn. Ale ona powiedziała równym głosem.

— Wszystko w porządku, Laird, jeśli chodzi o Jonny'ego. Kobiety z Ziemi przez dwa tysiące lat widziały, jak ich mężczyźni wyruszali w kosmos – i nie wszyscy wracali.

Floring podążał za nimi.

— Chciałbym, żebyście coś zobaczyli — powiedział.

Poprowadził ich w stronę strzelistego Pomnika Pionierów Kosmosu. Carlin spojrzał na listę nazwisk. Wtedy jego oczy nagle zamgliły się, gdy zobaczył, że po raz pierwszy od kilku stuleci na dole tej wielkiej listy, dodano nowe nazwisko.

JON LAND

Oczy Marn błyszczały. A jej olbrzymi brat patrzył długo, z wynędzniałą twarzą, jakoś pocieszony. Ale stary Gramp Land odwrócił się ze smutkiem.

— Nazwisko na kamieniu to marna wymiana za mojego chłopca — mruknął. — Starzeję się.

Tego wieczora, w starym domu na wzgórzach, przy kolacji wszyscy siedzieli zgaszeni i milczący. Stół był za duży, a oni zbyt często rozglądali się dookoła, jakby próbując dosłyszeć znajome kulejące kroki i wesoły głos.

Carlin był podwójnie przygnębiony z powodu pewnej rzeczy, o której im jeszcze nie powiedział. W jakiś sposób, z niechęcią myślał o przekazaniu tej wiadomości.

— Jest pewna rzecz, którą odkryli, kiedy robili nasze psycho-rejestry na potrzeby procesu — powiedział w końcu. — Moje badania wykazały, że nie wykazuję żadnej niestabilności koordynacji, nie mam już choroby gwiezdnej.

— To znaczy, że zostałeś wyleczony? — powiedział Harb, z zaskoczeniem. — No cóż, to w porządku. Nigdy o tym nie myślałem, ale odbyłeś podróż do Słońca bez problemu, więc powinienem był się domyślić.

— Psycholodzy mówią — wyjaśnił im Carlin, — że niektórzy ludzie z galaktyki od czasu do czasu zbliżają się znacznie bardziej do oryginalnego typu ziemskiego, niż przeciętnie. Tacy ludzie szybko reagują na leczenie na Ziemi. Wygląda na to, że jestem jednym z nich. — Dodał ze skrępowaniem: — Mogę teraz wrócić do domu na Canopusie, choć przez rok będę musiał pracować przy biurku. Tyle, że dziś wieczorem jest statek na Canopusa, a kolejnego nie będzie przez wiele tygodni.

— Chyba nie lecisz dziś wieczorem? — wykrzyknął Harb. — Chyba nie aż tak szybko?

Carlin poczuł lekkie ukłucie serca.

— Chciałbym żeby to nie było, tak szybko. Ale nie mam tu nic do roboty, teraz kiedy wszystko jest w porządku.

W jakiś sposób spodziewał się, że Marn też zaprotestuje. Ale ona tego nie zrobiła. Powiedziała tylko cicho:

— Odwiozę cię na dół, do portu kosmicznego.

— Wydaje mi się, że wolałbym zejść pieszo — powiedział powoli Carlin. — Nie wiem czemu, ale wolałbym. To nie jest daleko i wysłałem już swoje torby na dół.

— No to, odprowadzę cię kawałek drogi — powiedziała Marn.

Do czasu, gdy Carlin wymienił ostatni staromodny uścisk dłoni z Harbem i Grampem Landem, i ruszył drogą w dół z Marn, zmierzch zmienił się w miękki letni mrok.

Doszła z nim tylko do pierwszego zakrętu starej drogi, a potem zatrzymała się.

— Do widzenia, Marn — powiedział, ale ona jedynie odwróciła twarz.

Carlin zawahał się, ale odwrócił się i ruszył dalej. Luna wznosiła swoją błyszczącą tarczę na wschodnim niebie, i na wszystkim leżała srebrna letnia cisza, przerywana tylko szelestem poruszających się gałęzi i niskim brzęczeniem owadów. Noc była ciepła i spokojna.

Czuł grudę w gardle i próbował sam się z siebie śmiać, ponieważ ją czuł. Człowiek nie może pozwolić, by jakieś nielogiczne emocje przeważyły nad jego rozumem. Ta szalona, bohaterska stara planeta, Ziemia, i jej mieszkańcy – nigdy ich nie zapomni, ale musi wrócić do własnego życia i pracy, musi wrócić do domu.

Laird Carlin nagle się zatrzymał. Nagle zrozumiał, dlaczego przez cały dzień jego umysł dręczył tępy ucisk. To nie dlatego, że wracał do domu. To dlatego, że opuszczał dom. Opuszczał jedyne miejsce, w którym jego duch znajdował coś, czego zawsze mu brakowało, spokój, starożytną pewność, pokrewieństwo, które narastały i narastały.

Carlin odwrócił się i szybko ruszył z powrotem drogą pod górę. Dopiero gdy był już prawie przy zakręcie, spostrzegł, że Marn Land wciąż stoi na posrebrzanej drodze, w miejscu gdzie ją zostawił.

— Czekałam na ciebie — powiedziała po prostu. — Wiedziałam, że nie polecisz.

Jego dłonie chwyciły jej ramiona, gdy mówił w pośpiechu.

— Marn, nie mogłem! Myślałem o Canopusie, myślałem o mieszkających tam przyjaciołach, o pewnej dziewczynie, która mnie lubi i o miastach-ogrodach, które kiedyś tak kochałem. I wszystko to stało się

takie nierealne. Jestem jakoś związany z tą dziwną starą planetą, z Jonnym, Harbem i wszystkimi innymi, i z tobą!

Wtuliła się spokojnie w jego ramiona.

— Wiem. Było już więcej ludzi podobnych do ciebie. Nie tylko ty przyleciałeś na Ziemię i stwierdziłeś, że jakoś nie możesz jej opuścić. Ta stara planeta tętni we krwi naszej rasy, Laird. — Uniosła wzrok. — Rok to niedługo. Będziemy cię tu potrzebowali, żebyś zastąpił Jonny'ego, by nadzorować górnictwo słoneczne. I ja cię potrzebuję. Zawsze będę.

Carlin trzymał ją mocno w objęciach, całe zmęczenie i wątpliwości zniknęły teraz, był dziwnie zadowolony. Patrzył w górę na letnie gwiazdy i myślał o tamtejszych światach, ale one wszystkie były gdzieś daleko, daleko.

A Ziemia była blisko, jej starożytna cicha noc otulała go delikatnie. Miękki wiatr poruszał liśćmi i gałęziami w świetle księżyca, a droga wiła się biało i pewnie prowadziła ich do starego domu. I z ogromu czasu oraz kosmosu, Ziemianin wreszcie wrócił do domu.

KONIEC